Szczepanowice.

IV.

1.

Rodzina Kucieńskich.

Senator Wojciech Kucieński ożeniony był z panną Feistmantlówną, córką zamożnej kupieckiej rodziny w Krakowie. Z tego związku miał syna Jana. Po kilku latach pożycia rozwiedli się Kucieńscy bez żadnych skandalicznych powodów, gdyż świadczy o tem szacunek i poważanie, jakie zachowali do późnej starości u ludzi, oboje w powtórne wszedłszy związki małżeńskie.

Wojciech Kucieński ożenił się powtórnie z panną Sobieniowską, siostrą drugiej żony mojego dziadka Michała Mohra, i liczną miał rodzinę, bo 4 synów i tyleż córek. — Pani Marya Kucieńska, za-

trzymając przy sobie jedynaka syna Jana wyszła za p. Dinot de Vigneuil, eleganta i światowca. Państwo Dinot nie mieli dzieci, więc ojczym przylgnął sercem całem do pasierba, ślicznego i żywego chłopczyny, za którym – jak to się mówi – świata nie widział. Oboje Dinotowie psuli dzieciaka, dogadzając jego fantazyom a później, gdy dorósł, ojczym – zamożny nie szczędził grosza dla Jasia, rozwichrzonego mocno młodzika. To też Jan K. uczęszczając na wydział prawa w Uniw. Jag. należał do najszaleńszej rozbawionej młodzieży. Ładny, choć drobny chłopak, sławny tancerz, majętny i wykwintnych manier był pożądanym gościem w domach kra-

kowskich i nie obyła się bez Jana K. żadna zabawa, po której często w jasny dzień widziano go, powracającego ostentacyjnie z kolegami przez rynek z pądałtemi dostrzęgłnie podartwami. Mimo to inne podobne wybryki a może właśnie dla nich panny za Jasiem K. przepadały. — Kolegami i przyjaciółmi jego byli między innymi: Pfeifer (późniejszy aktor i dyrektor teatru) i Steczkowski (późniejszy prof. Uniw. Jag., znakomity matematyk). Ten ostatni był zaręczony z panienką z domu, w którym zachowywano surowsze obyczaje. Który na mające się odbyć w zapusty wesele, pod presją zapewne rodziców panny młodej, Steczkowski nie zaprosił swoich

wesołych kompanionów. Kucieński i Pfeifer, podrażnieni tem, postanowili się zemścić. Jakoż w dzień ślubu, mającego się odbyć wieczorem, zaprosili Steczkowskiego na kawalerską bibę, która przeciągnęła się do wieczora, bardzo podchmielonego towarzysza ubrali w strój weselny i na pół godziny przed naznaczoną porą ceremonii ślubnej zaprowadzili go do drzwi mieszkania rodziców panny młodej, zadzwonili i wepchnąwszy Steczkowskiego do przedpokoju umknęli. Zgromadzeni już goście, uwiadomieni o wypadku gorszącym, nie rozeszli się, lecz pocieszywszy łzami się zalewającą pannę młodą, zjedli, wypili i przetańczywszy noc całą udali

się do domu. Ślub odbył się nazajutrz.
Jan Kuciński starał się o rękę panny z szlachec-
kiego, lecz wielce do arystokracyi pnącego się
rodu. Gdy ojcu panny zamiary swoje wyjawił, ten,
cedząc słowa, zapytał konkurenta: „Kto go rodzi?"
Kuciński, że był popędliwego usposobienia, od-
powiedział czterozgłoskowem słowem ordynarnem
i trzasnąwszy drzwiami, wyszedł.
Żyjąc z przyrodniem swem rodzeństwem w serdecznych
stosunkach, opowiedział jednej z sióstr Kucińskich,
Emilji, całe zdarzenie, nadmieniając, że najdalej
w 6 tygodniach chce się ożenić i prosił ją, aby mu
między licznemi przyjaciółkami swojemi wynalazła
żonę! Panna Kucińska wiedząc o tem, że Tadzia

Józefa ~~Kr~~ Mokrówna (jej siostra cioteczna) pała cichym afektem do burzliwego kuzyna, zaproponowała wybór w domu Mokrów. Zadecydowano więc, że tegoż dnia jeszcze Jaś się uda do rodziny wuja Mokra a wybierze tę, która pierwsza wyjdzie do salonu. I tak się stało: Antosia wyprzedziwszy brata, tak rzecz ułożyła, że skierowała kuzynkę Józefę do bawialnego pokoju na przyjęcie Jasia. Porozumienie rychło nastąpiło między młodą parą a w sześć tygodni za indultem, w owym czasie tak łatwym do uzyskania odbył się ślub.

Wszyscy Kucieńscy, Jan, Samuel, Wojciech, Roman i Ludwik obrali sobie stan ziemiański, z córki wyszły także za ziemian. - Jan trzymał w dzierżawie

Tedmy majątek w Miechowskiem, Szczepanowice. Była to wieś z 2 folwarkami w dobrej glebie, leżąca w dosyć szerokiej dolinie, którą okalały zielone pagóry, porzynane rozpadlinami, przeważnie wapieniem; na pagórach rozciągały się obszerne pola orne. Dolinę przebiegała mała rzeczka, między łąkami się wijąc, nad rzeką dużo topoli nadwiślańskich zdobiło wieś wcale malowniczo. Nowożeńcy zaraz po ślubie osiedli w Szczepanowicach.- Co nadmieniłam powyżej o nieco burzliwej młodości wuja Jana, to wiem z opowiadania ojca mojego i innych starszych osób, gdyż wtenczas nie żyłam jeszcze. Wuja pamiętam już człowiekiem starszym i poważnym. O nim powie-

dzieć można, że był w całem słowa tego znaczeniu potwierdzeniem przysłowia, że „kto się ożeni, ten się odmieni." Wuj Jan, porzuciwszy dawne światowe swoje upodobania, stał się zamiłowanym rolnikiem i gospodarował postępowo, na co sąsiedzi zapatrywali się z początku sceptycznie, lecz powoli, widząc dobre wyniki gospodarki Jana K. poszli za jego przykładem. Z eleganta i świszczypały przedzierzgnął się Jan K. w zawołanego rolnika, przyswajając polskiej ziemi najnowsze wynalazki, zawsze z dobrym skutkiem. Na pagórkach złociły się rozległe łany żyta i pszenicy, urodzaj zawsze dopisywał.

Pani Dimot po śmierci męża kupiła synowi wieś

Wierzbicę, ładny majątek w Proszowskiem, ale on wolał zostać w Szczepanowicach, a osadziwszy w Wierzbicy rządcę, dojeżdżał tylko do swojego majątku. Mimo wielkich przymiotów charakteru, człowiek ten nieskazitelnej prawości, szczodry i wspaniałomyślny, wyższej inteligencyi, sprawiedliwy dla swych włościan i służby, był jednak dziwakiem. A przecież miał w okolicy mir wielki; żadna narada sąsiedzka, czy zebranie rolnicze nie obyło się bez niego, bo ogólnie był szanowanym a zdanie jego cenione. – Niegdyś ozdoba salonów krakowskich, wykwintniś i szarmant, przemienił się w demokratę i gardził blichtrem i wystawnością wszelką, którą nazywał „pańskiemi fumami."

Ubierał się zawsze w szaraczkowe szaty, osobliwego kroju i nosił tylko czapkę szyktą na głowie. Ubioru tego małomieszczańskiego dopełniały wysokie do kolan buty, co prawda, bardzo piękne, uwydatniające drobną i zgrabną stopę i bielizna cienka, śnieżnej białości i świeżości. Jadał mało, pił tylko wodę, kart nie brał do ręki i nie bywał u sąsiadów, czytał wiele bardzo, na pisma peryodyczne, krajowe i zagraniczne pieniędzy nie żałował. Żonę i dzieci kochał i uważał ich dusze przymioty, lecz przez nieporzeparty upór i przywczość był w domu niewar bardzo przykrym.
Przepędzając w domu wujostwa K. wakacye a po

wyjściu z pensyi, przeszło 3 lata, nie słyszałam nigdy, aby jakieś obelżywe słowo wyszło z ust wuja przeciw komukolwiek. Gniew swój wyrażał uderzeniem w stół pięścią lub laską w ziemię, trzaśnięciem drzwi od swojego pokoju, zwanego kancelaryą, gdzie zapaliwszy fajkę, przesiedział w milczeniu nieraz i dni kilka; w jadalni zjawiał się z ceremonialnym ukłonem. Panowało wtedy w domu ogólne silentium, rodzina i służba chodziła na palcach, aby zagniewanego nie drażnić. Mojem zdaniem były to u wuja po prostu tak zwane „muchy w nosie" i fochy, które mijałyby były prędzej, gdyby na nie nie zważano. Dowodem tego było, że jej, cieszącej się ojcowskiem wuja przywiąza-

niem, zawsze z dobrym skutkiem poskramiałam te fochy, gdy się dłuższej przeciągały. Jak poskromiciel lwa lub tygrysa do klatki, wchodziłam śmiało do kancelaryi pod jakimkolwiek pretekstem a zagadnąwszy złośnika, widziałam że mu sprawiam ulgę. Nigdy nie pozostawił mnie bez odpowiedzi, „muchy" uleciały i wuj stawał się znowu dobrym i czułym, bo serce dobre, dusza jego szlachetna i rozum nie zaślepiały go na wadę przywarczną jego charakteru.
Wujostwo mieli 3 dzieci: 2 bardzo dorodne córki, Maryę i Emilię i syna Stanisława, które wychowywali wzorowo.
Ciotka Józefa była rozumną kobietą, doskonałą

gospodynią, sprawiedliwą panią dla służby i wielce sympatyczną osobą. Czynna i ruchliwa, żywy i wesoły miała temperament; dlatego może godziła się z losem i ową fantastyką męża i mężnie znosiła napady jego gniewu, często niesłusznego. Najlepszą żoną, czułą i troskliwą matką, miłą i uczynną sąsiadką, tkliwą opiekunką włościan, zaskarbiła sobie ogólną miłość i wysokie poważanie, którem przez długie życie się cieszyła.

Ujemną stroną tej, zresztą tak miłej pod wielu względami i świetnie zagospodarowanej wsi, był dwór, t.j. dom mieszkalny. Dzisiejszym ludziom wydałoby się nie do pojęcia, aby rodzina inteligentna, wychowana od dzieciństwa w zamożności i wygodach miejskich, mogła żyć długie lata w tak ciasnym i fatalnie położonym domu. Był to na małem wzgórzu z kamienia wybudowany budynek, kryty wysokim dachem słomianym. W tym długim domu, czysto zawsze wybielonym było 5 pokoi, sień, kuchnia, spiżarnia i pod tym samym dachem stajenka wielka dla krów! Nie dosyć na tem jednak; stajnie końskie, owczarnia i chlewy, postawione bezpośrednio

do domu mieszkalnego stanowiły razem z tymże obszerny czworobok z ogromną gnojówką, istnym stawem!! Na to żółte jezioro wychodziły 4 okna pokoi (!) szczelnie zamknięte i z ~~okratowanemi~~ okrzadowanemi szybami. Mieszkanie przewietrzano tylko przez frontowe i boczne pokoje, wychodzące na podjazd i mały, kwietny ogródek. Prośby rodziny, rady sąsiadów aby usunąć przynajmniej gnojówkę, nie odniosły u wuja żadnego skutku; raz się zademokratyzowawszy, upornie trwał przy chłopskiem urządzeniu – nie było na to sposobu. – W takiej to rezydencyi przeżywać musiała lat kilkadziesiąt kochana moja ciotka Józefa z rodziną. Tylko jedno wejście było do domu, t.j. do sporej sieni.

wyłożonej cegłą, na lewo drzwi do wspólnej z cze-
ladną kuchni, wprost jedyne(!) drzwi do pokoi
mieszkalnych, bielonych, o sufitach drewnia-
nych w takież listewki zdobnych;(!) podłogi
zwykłe z desek. Mimo to wszystko, nadzwyczaj-
na czystość w domu całym utrzymywana
schludny nadawała mu wygląd, a ład i po-
rządek w każdym zakątku sprawiał, że
wszystko co do wygody potrzebne było miało
miejsce i schowek, choć w niewielkiej przestrzeni.
Ciotka Józefa obdarzona była ~~niewielki~~ nie-
zwykłym zmysłem organizacyjnym, jakoteż
umiejętnością wyuczania ludzi różnych arka-
nów gospodarstwa domowego i praktyczności.

z pomocą wyszkolonej, choć stosunkowo nielicznej służby, pod dozorem mądrej i dobrej pani, która zawsze wiedziała, czego żądać można od pracującego człowieka, wszystko szło raźno; podział pracy i punktualność sprawiały, że w domu tym na wszystko był czas a nigdy nie było niemiłego zamętu ani hałasu. Ciotka zastosowała o pół wieku wcześniej zasadę któregoś Francuza, t.j.: „Le ménage est une machine, dont il ne faut pas faire crier les ressorts" Tym sposobem działalności domowej naprawdę nie każda pani domu poszczycić się może. Służba rekrutowała się we wsi na miejscu. Kucharz Józef jeden z najlepszych jakich znałam a znałam wielu

u licznych moich krewnych w dawnem Król. polskiem, był uczniem ciotki Józefy i całe długie życie wiernie i uczciwie jej służył.
2 córki: Marya i Emilia uczyły się w domu za zdolnej guwernantki, panny Korzanowskiej, córki muzyka i kompozytora warszawskiego. Syn Stanisław w Krakowie pobierał nauki, umieszczony w pensyonacie Szymona Łutkiewicza.
Dopóki panienki nie skończyły nauk, trzymano pannę służącą Wolską, która w gospodarstwie była ciotce pomocną przez lat kilka. Po wyjeździe guwernantki panienki objęły najpierw lekkie gospodarstwo szafkowe, w którem i ja brałam udział. Każda z nas miała swój ty-

dzień kolejno, zatem robienie kawy i herbaty, zbieranie śmietanki, dozór nad śniadaniem, obiadem i kolacyą, wydawanie cukru i t. p. Zakres działalności powiększał się czasem, jak n. p. w porze zbierania, suszenia i smażenia owoców, przygotowania spiżarnianych zapasów na zimę. Wszystko spełniałyśmy ochoczo i wesoło, jak takim trzem młodym „srokom" przystało.

Spiżarnia, piwnice i kurniki szczepanowickie zawsze suto były zaopatrzone; starczyło to na dom, obdarzanie krewnych w mieście wiejskiemi przysmakami, jak i dla biednych, wędrownych, którzy nigdy z próżną sakwą nie odchodzili. Wszakże niech nikt nie myśli, żeśmy były jakiemiś zaharowanemi, umęczonemi w pocie czoła ofiarami.

Był czas i na umysłowe rozrywki; czytało się dużo w tym domu głośno, muzykowało w miarę, zwłaszcza w długie zimowe wieczory. Fatalne drogi utrudniały komunikacyę z dalszemi sąsiedztwami, czasem mijały tygodnie całe bez gości. W lecie odkładano wszelkie odwiedziny do nocy księżycowych dla bezpieczniejszego powrotu, w zimie czekano na sannę.

Nie wiem naprawdę jak i kiedy nauczyłyśmy się doskonale krawieczyzny i białego szycia. W tym ostatnim była nam kochana ciotka Józefa mistrzynią, zaś młodsza kuzynka Emilia, lubiąca się ładnie ubierać, zbadała kunszt krawiecki gruntownie w żurnalu francuskim i niemieckim „Bazarze." Krajałyśmy i szyły z zapałem a nasze toalety, nawet wieczorowe zyskiwały ogólne

ubranie. Doskonale obchodziłyśmy się bez grymaśnych, miejskich krawczyń, dla których w niewielkiem mieszkaniu miejsca nie stało. Młode panny w owym czasie nie ubierały się bogato: lekka muślinowa lub tarlatanowa, najczęściej biała sukienka, świeży kwiat we włosach albo wstążka wystarczały zupełnie. Młoda, prosta wieśniaczka, Kasia pokojowa umiała prześlicznie prać i prasować nawet najcieńsze jak gaza materyały, że wyglądały jakoby prosto wzięte ze sztuki. W owe czasy nosiłyśmy kołnierzyki batystowe, haftowane, wraz ze szmizetką, sięgającą do pasa pod stanikiem a u rękawów otwartych, białe, zastosowane do kołnierzy-

ka bufy, które to dodatki toaletowe dużo trudu i prania nam przysparzały, zwłaszcza że każda z nas, także i ciotka Józefa, najmniej po tuzinie takich garniturów posiadała. Poczciwa Kasia prała to wszystko a w prasowaniu wszystkie tory pomagałyśmy rzetelnie i nieraz pokój jadalny z ustawionemi na deskach i stołach białościami wyglądał jak pralnia. Do mieszkania było tylko jedno wejście, właśnie przez pokój jadalny i nieraz na wieść że goście jadą powstawał szalony popłoch, deski i bielizna znikać musiały do ciemnej za salonem garderóbki, nie dlatego abyśmy się prasowania wstydziły, broń Boże! Lecz gościnność nakazywała aby odwiedzający nie odnosił wrażenia iż przy-

był nie w porę i przeszkodził w zajęciu. Babskie jednak nosy zapewne wyczuwały zapach rozgrzanych żelazek i domyślały się prawdy... Wuj Jan lubił, siedząc w kącie pokoju z nogą podwiniętą pod siedzenie i paląc fajkę, przyglądać się naszej pracy, rozrywało go to trochę; pewna też jestem iż w gruncie duszy podziwiał szybkość i zręczność swych córek, ale że był przekorny, więc krytykował wszystko w czambuł. I tak, gdy widział że pod hafty podkładano flanele dla uwypuklenia deseniu, albo zważano na stronę, z której prasować należy, zaraz dowodził, że to jest wierutne głupstwo, babskie przywidzenie i t. p. uwagi czynił ironicznie. Gorzej bywało przy krawieczyźnie;

tu najczęściej następował wybuch niecierpliwości wuja. Każde namyślanie się krającej uważał wuj za niepotrzebną stratę czasu, nie chcąc zrozumieć, że chodzi tu o oszczędzenie danego materyału. „Co się tu namyślać?" wołał, „Złożyć materyał we dwoje i ciachnąć!" Kiedy ciachnięcie nie następowało zaraz, wuj się irytował, uderzał pięścią w stół i szedł do kancelaryi na całodzienne silentium. Unikając tedy fochów wuja, starałyśmy się odkładać wszelkie przykrawanie na czas jego wyjazdu; rzeczy uszytych nigdy nie krytykował, przeciwnie chwalił robotę zawsze.

Do wielu dziwactw wuja należały jego niby ta-

jemnicze wyjazdy; Nie opowiadał się nigdy dokąd jedzie. Ukłoniwszy się wszystkim, wsiadał na bryczkę z ulubionym psem Bryśkiem i wskazawszy stangretowi drogę na prawo albo na lewo, znikał nam z oczu. - Jeżeli stangret z Bryśkiem powrócił, znaczyło to, że wuj z Krakowa dalej gdzieś pojechał. n.p. do Niemiec dla zwiedzenia jakiegoś wzorowego gospodarstwa, jakiejś wystawy, lub dla zakupna maszyn rolniczych, do których miał pasyę, choć niewszystkie nadawały się do naszej gleby i zalegały latami całemi różne szopy. A mania ta pochłaniała znaczne sumy.. Dziwactwem wuja było takie istne rozmiłowanie się w żydzie Szmulu, pachciarzu z majątku Wierzbica. Wiadomo że szlachcic- ziemianin

bez żyda obejść się nie może. Potrzebny jest
on jako faktor i pośrednik, lecz takiemi
względami, jakiemi się u niego cieszył Szmul,
chyba żaden żyd w okolicy poszczycić by się
nie mógł. — Szmul, człowiek lat średnich,
z czupryną rudawą i kręconą, o twarzy czerstwej,
podsadkowatej postaci, miał o każdej porze
przystęp do dziedzica, gdzie przy biurku jego
był w stanie całemi godzinami wystawać.
Żyd obieżyświat znał stan majątkowy sąsia-
dów jak swoją własną kieszeń, wiedział o ~~sta-
nie~~ produkcyi zboża każdej wsi, o stanie
i ilości bydła, owiec, koni i t.p. i wysypy-
wał jak z rogu obfitości wszystko przed cier-
pliwym słuchaczem. Gdyśmy siedzieli przy

stole jadalnym, Szmul miał stanowisko przy piecu kaflowym, po którym miał zwyczaj z góry na dół klapać tłustemi łapami. Jako ortodoks przyjmował tylko herbatę i chleb suchy jako poczęstunek, więc bez ceremonii sięgał na stół po rożenek i odkroiwszy swoim nożem piętkę chleba z przeciwnej niż była napoczęta, strony, kładł resztę na stole. Tę świętość musieli znosić nieraz i obcemi goście. Pewnego razu, gdy któryś z sąsiadów po powrocie z Warszawy opowiedział nam jakiś smutny fakt przemocy moskiewskiej (było to w r. 1861.) kiedy pod wrażeniem boleśnem nastało przy stole milczenie, Szmul klapnąwszy głośno obydwoma rę–

kamień w piec, zawołał: „Ale gięsy staniały.”
Szmul nie był Mickiewiczowskim Jankielem... –
nie wdawał się w politykę a jeżeli grał na ja-
kim instrumencie, to chyba tylko na nosie
mojego wuja...
Dodać jeszcze muszę, że Szmul miał niebrzydką,
lecz głupią strasznie żonę. Gdy ciotka Józefa
przywiozła jej z Krakowa kwiaty do czepka w po-
darku, Szmulowa zapytała: „A czy mi nie będą
-marznąć w zimie?”
Szmul po powstaniu w 1863 r. kupił w Wolbromiu
dom z gruntem i dorobił się majątku. Kto wie
czy potomkowie jego, jako panowie Wolbromscy
nie rządzą dziś w bolszewickiej Rosji...

Wieczory zimowe w Szczepanowicach.

Sądzę, że w mało którym domu wiejskim czytano tak wiele, jak w Szczepanowicach. Długie zimowe wieczory wyłącznie prawie literaturze były poświęcone. O zmierzchu wnoszono lampę, w około której zasiadałyśmy wszystkie cztery z robotą ręczną i kolejno jedna po drugiej czytała głośno. Wuj Jan zajmował miejsce w kącie pokoju na wygodnym fotelu i palił fajkę, nałożoną zwanym „tiukowem". Był to czas rozwlekłych powieści, tak w polskiej jak i obcej literaturze. Zatem pochłaniałyśmy moc dzieł Korzeniowskiego, Kraszewskiego, Kaczkowskiego, Orzeszkowej i innych, przeplatając czasem poezyami Mickiewicza, Gabryeli

Żmichowskiej i słynącej na ów czas Deotymy; tej ostatniej utwory o pięknej formie, ale zimne. Z literatury angielskiej w niemieckiem tłumaczeniu mordowaliśmy panią Fullerton i Craven, z niemieckiej Freitaga, Hackländera i innych. Z francuskich romansopisarzy wybijał się wówczas nad innych Victor Hugo. Czytania te wywoływały w przestankach rozmaite dyskusye, wymianę zdań, a czasem bardzo żywe dysputy. Rzeczą dziwną było, że mój Jan, tak łatwo zaperzający się o byle drobnostkę, tu pozostawiał nam zupełną swobodę wygadania się. Widocznie bawiły go nasze nieraz dowcipne uwagi, śmiał się serdecznie bijąc brawo a może wrodzony duch pokory nakazywał mu milczeć, kiedyśmy się unosiły.

O 11 godz. ciotka nieubłaganie zrywała posiedzenie literackie i udawaliśmy się na spoczynek. Wuj pasyonowany do czytania powieści porywał natychmiast daną książkę, pomykał z nią do kancelaryi i doczytywał do końca zaczęty rozdział. I tak pewnego wieczora, gdy stanęliśmy w „Nędznikach” na opisie ucieczki przez dachy nieszczęśliwego rokatera Jana Valjean przed ścigającym go detektywem, wrogiem, Javertem a w najbardziej zaciekawiającym momencie, 11 godz. nas rozpędziła, wuj zasiadł do dalszego czytania. Sypiałam wtenczas w sąsiednim saloniku na kanapie. Dobrze się już przespawszy, widziałam jeszcze światło przez szpary we drzwiach kancelaryi. Widocznie jakieś moje poruszenie zdra-

dziło że nie śpię, bo w tej chwili przez drzwi dał się słyszeć przyciszony głos wuja: „Michasiu (tak mnie nazywano dla odróżnienia od kuzynki Maryi) Jean Valjean zdołał przecie wymknąć się Javertowi. Idź spać spokojnie — dobranoc ci."

Zatem mniej nacnie się czytało; w tej porze ja przyznać to muszę, że trochę porwzięta powieściami p. Fullerton, od których „psy pod oknami wyły" i innych zanadto sensacyjnych, wykradałam z bibliotecerki dziecinnej, będącej pod kluczem kuzynki Emilii, dziełka p. Hoffmanowej i zaszywszy się w ogrodowe ustronie z lubością się w nich rozczytywałam. Uczciły mnie też ogromnie Mickiewiczowskie, Dzia-

dy", których część trzecia, jako zakazana i zbytniem grożąca, schowana była w sprężynach kanapy w salonie, niby w wielkiej tajemnicy... Umiałam się dostać do tej skrytki i z moją zdobyczą pomykałam cichaczem w gęstwinę ogrodową.

Ogrody w Szczepanowicach.

O ile dom mieszkalny w Szczepanowicach pozostawiał wiele do życzenia, tak pod względem komfortu jak i wyglądu zewnętrznego o tyle ogrody były radością dla oka i skarbnicą wszelakiego dobra, które wieś dać powinna i dać może. Największy ciągnął się za domem. Był to wydłużony trochę w górę ~~ciągnący~~ się kwadrat, okolony wy-

wznoszący
s

sokim, płotem i obsadzony wokoło drzewami jarzębiny na przemian z drzewem octowem, pomiędzy krzakami krategusa i głogu, potem grzęda kwiatów tak obsadzona, że począwszy z wiosną od krokusów i irysów aż do jesiennych kartowatych astrów, ogród jak barwnym wieńcem był otoczony. Kiedy drzewa i krzewy okryły się owocem czerwonym, ślicznie, jakby koralowym wieńcem cieszyły wzrok. Cała przestrzeń ogrodu podzielona była w szachownice; kwatery poprzerzynane ścieżkami, obsadzone były drzewami owocowemi, krzakami agrestu, porzeczek i malin a wszystko w najszlachetniejszym gatunku. Na kwaterach grzędy delikatniejszych jarzyn, jak groszek cukrowy, kalafiory, karczochy, pomidory, dynie i ogórki

albo jagody jak n.p. olbrzymie truskawki i poziom-
ki ogrodowe czerwone i białe. Moc wielka maku,
czarnuszki i cykorji użyczała oczy barwami swych
kwiatów. Dalej kmin, anyżek, koper włoski, maje-
ranek, niezbędne przyprawy w polskiej kuchni
a wszystkiego obfitość wielka. Na końcu ogrodu
widniała cieplarnia, gdzie zimą umieszczano do-
niczkowe rośliny. Przed cieplarnią, zwaną szumnie
„oranżerją" były inspekty, dostarczające z wiosną
wczesnych nowalii, jak sałat różne gatunki,
rzodkiew porzybowa, wreszcie około inspektów
istna kopalnia pieczarek. W środku ogrodu był
wielki okrągły klab, zasadzony wczesną wiosną
białemi liliami, a latem różami miesięcznemi.

w doniczkach; oprócz tego z boku ogrodu istniał łan prześlicznych kwiatów, starannie opielony. Od wiosny do późnej jesieni można było układać bukiety dla ozdoby pokoi. Kochana ciotka była zamiłowaną ogrodniczką; sprowadzano nasiona z Erfurtu od Topfa, kwiatowe i warzywne, na co koso patrzył staruszek ogrodnik Stanisław, nazywając to „niemieckiemi wymysłami", jednak gdy udało się wyprodukować coś pięknego cieszył się niezmiernie, sobie zasługę przypisując. W owym właśnie czasie, kapucyn, ksiądz Remigi, ogrodnik-amator podniósł był obszerny ogród klasztorny [w Krakowie] do wysokiego stopnia kultury. Jako kwestarz wszędzie był mile widzianym gościem,

przywożąc liczne sakwy nasion, któremi się pa-
niom, benefaktorkom klasztoru za suté dary odwdzięczał.
Z ciotką prowadził istny handel zamienny za na-
siona niemieckie, których ubogi zakon sprowadzać
nie był w możności.
Oprócz ogrodu, który opisałam, był jeszcze drugi,
mniejszy naprzeciw dworu; była tam szparagar-
nia, drzewa owocowe i morwowe a także mała
pasieka. Bok domu zdobił ogródek, wielkości
średniego salonu, otoczony sztachetą, istny
kosz kwiatów, nad którymi górował kląb drzew
fuksyowych, śliczne róże sztamowe i inne
wonne kwiaty. Ten kwietnik był przed oknami
dworu; wychodzące nań okna, ciągle otwarte

latem, ratowały duszną atmosferę mieszkania; ciotka nigdy nie wydzierżawiała ogrodów i żadna nigdy ohydna buda sadownicza, pełna bachorów rozczochranych, nie szpeciła ogrodu. Produkcyę, nieraz bardzo obfitą, umiano w domu przerobić i zużytkować w postaci suszu, powideł, kompotów, konfitur i wybornych soków owocowych, któremi to przysmakami dzielono się z krewnymi i przyjaciółmi w Krakowie, rzadko tylko nadmiar sprzedawano mieszczankom miechowskim. Szkód w ogrodach nie robiono, gdyż koło każdej chaty był jakiś sad śliwkowy, lub grusza albo jabłoń, i kwiatów nie brakło, gdyż ciotka pouczyła kobiety wiejskie, jak je hodować należy, toteż w niedzielę w kościele miechowskim dziew-

częta szczepanowickie odznaczały się pękami kwia-
tów, zatkniętemi za chustki na głowach, co two-
rzyło barwny wieniec, w którym dziewuchom hożym
wielce było do twarzy.

W głównym ogrodzie, na południowej stronie bu-
dynku gospodarskiego rozpięte były drzewa morelo-
we i brzoskwiniowe i te owoce dochodziły do nie-
zwykłej wielkości i dojrzewały znakomicie. Otóż
któregoś lata zauważono iż jakoś prędko ich uby-
wa, choć, jak wyżej wspominałam, kradzieże w Szcze-
panowicach były nieznane. Postawiono więc budę,
umieszczono jako wartownika chłopaka wyrostka,
który zaraz pierwszej nocy zbiegł ze stanowiska swe-
go, utrzymując, że widział stracha białego, nie-

mniejszej wielkości, co go tak przeraziło, iż umknął do domu. Kucharz Józef wybadał, że ślady butów „stracha" prowadziły wzdłuż ogrodu do sąsiedniego gmachu; otwór w płocie świadczył, którędy się złodziej przedostawał. Następnej nocy złapano stracha na gorącym uczynku; był nim, odpowiednio do roli ukostiumowany, karbowy. Kostium urządzał sobie w taki sposób, że na 2 laski nakładał stary, wysoki cylinder, przykrywał zbiorowym wantuchem, to wszystko nakładał na siebie trzymając laski w rękach; w miarę zbliżania się do wartownika podnosił laski do góry, w ten sposób wydłużał swoją, z natury już bardzo wysoką postać, co zwłaszcza przy świetle księżyca sprawiało przejmujące wrażenie. Nie szło o ubytek owoców,

którego moc wielka była, lecz o zły przykład, co ciotka Józefa w admonicyi danej karbowemu podniosła. Karą dla karbowego było, że stał się pośmiewiskiem wiejskiej młodzieży a miano stracha całkiem przylgnęło do niego, to też dosłużywszy do pewnego terminu, podziękował za służbę.

W jednym z trzech folwarków, należących do Szczepanowic, był sad śliwek białych, zwanych francuzkiemi. Mogę powiedzieć, że nigdzie nie zdarzyło mi się widzieć drzew śliwkowych takiej wysokości. Kształt owocu, zapach i smak był przedziwny. Któregoś roku obrodziły te drzewa nadzwyczajnie; wybraliśmy się więc całą wyprawą

w łzowy po woć; którego po obdarowaniu niem ekonomka, służby folwarcznej i wiejskich dziewcząt pozostało jeszcze kilka korcy. Co z tem zrobić? Po usmażeniu na konfiturę, ugotowaniu kompotu na zimę postanowiono z dodatkiem węgierek usmażyć powidła. Procedura ta wymagała kilka dni czasu. Zniesiono ogromne kotły z byłej gorzelni do zakątka w wielkim ogrodzie, gdzie pod osobistym ciotki dozorem rozpoczął się obrzęd gotowania i przecierania śliwek, przy zachowaniu nadzwyczajnej ostrożności, czystości i akuratności. Zajęte przy tej pracy dziewczyny, czysto ubrane, baczyć musiały aby broń Boże szypułka, listek lub atom pestki nie dostał się do powideł. Ciotka nawet w nocy nie

dospała, gdy się powidła dosmażały. Trudy ponie-
sione hojnie się opłaciły. Po odtrąceniu na potrzebę
domową i procenta wszelkie, pozostało jeszcze
300 garncy na handel, złożone w beczkach w piw-
nicy. Jakoż wysilone drzewa w roku przyszłym
zawiodły; towar był poszukiwany, znaleźli się
kupcy, żydzi z Warszawy i dobito targu po
rublu za garniec (!!) co wówczas było ceną dobrą.
Żydzi przywieźli swoje beczki a ciotka pożyczyła
swojej łyżki ogromnej a raczej wklęsłej kopyści
drewnianej do wydobywania tej wonnej, pysznej
marmolady i sama chciała przypilnować prze-
ładowania, ale żydziska odrzucili kopyść i
zakasawszy brudne rękawy koszul aż po ramiona,

jeli zatapiać równie brudne łapy w powidłach. Żywy protest ciotki nie odniósł skutku, więc biedaczka widząc tak zmarnowany i sponiewierany swój trud, uciekła do domu, gdzie chórem życzyliśmy Warszawiakom dobrego apetytu. Ruble stały w owym czasie w Austryi wysoko, to też ciotka za uzyskaną sumę kupiła córkom piękny, wiedeński fortepian w Krakowie u Hollmana a synowi wspaniałą dubeltówkę. *

Uwaga: Patrz na koniec zeszytu

Co lat kilka gotowano w Szczepanowicach wyborny bulion na domową potrzebę, rozumie się że z zachowaniem tej samej czystości i dokładności co przy smażeniu powideł, wlewano w formy a po zastygnię-

cie, kładziono krążki w pętlę z wiechcza słomiane-
go i wieszano na strychu u pułapu. Jakież pewne-
go razu było moje przerażenie, kiedy wydelegowana
dla sprawdzenia, czy krążki dostatecznie już są
twarde, spostrzegłam, jak z pętlic słomianych
jakby wstęgą brunatnej barwy lał się kostkowy bu-
lion na polepę strychu. Polepa wprawdzie czysto
zamieciona była, lecz szkoda była znaczna. Wi-
docznie bulion nie był dostatecznie wygotowany
a może upał był powodem katastrofy. Tak to naj-
lepszej, najprzezorniejszej nieraz gospodyni przy-
trafić się może jakieś niepowodzenie.

Dziś w r. 1919, gdy córka moja albo kucharka

uganiać są zmuszone za szczyptą kminku
lub majeranku po całem mieście i płacić ją
na wagę złota, jakże wspominam owe snopy tych
przypraw kuchennych, zwieszające się u stropu
spiżarni, albo wory przewybornego suszu, którym
raczyła się z upodobaniem w czasie postu dworska
służba. A cóż dopiero mówić o sokach jabłecz-
nych, o śliwkach napełnianych kminkiem, mar-
moladą z moreli lub orzechową masą, o grusz-
kach płaszczonych, maczanych w syropie i przy-
suszanych w piecu. Było co pogryzać w zimie i
gościa czem przyjąć. Nie przeczę, że może i dzisiej-
sze panie wiejskie produkują podobne przysmaki,
ale je sprzedają żydom, obskurnym sklepikarzom,
przez których brudne łapy po cenie zawrotnej

kupuje ludność miejska, sklepy „ziemianek" świecą pustkami, a jeśli się znajdzie jakiś produkt to lichy i po paskarskiej cenie... To też słusznie nazwano nasze galicyjskie ziemianki: „zdzierankami" (r. 1919)

Wina w Szczepanowicach mało używano, natomiast ciotka syciła miody przewyborne. Podawano je „od gości" na deser lub na podwieczorek, przy ciastach i owocach. Kolor tego trunku, a raczej nektaru, był złotawy, aromat delikatny. Nie brakło też nigdy miodu praśnego i wosku na zaprawę podłóg, którego części sprzedawano. Kilka ulów w ogrodzie szparagowym dostarczało tych cennych artykułów.

Ogrodnikiem był staruszek Stanisław, Napoleończyk; dożywał dni swoich po długich latach wiernej służby w Szczepanowicach. Lubił opowiadać swoje wojenne przeżycia, a we mnie cierpliwą miał słuchaczkę, choć, co prawda nie wiele rozumiałam z jego mowy, gdyż staruszka nie mając wcale zębów, mówił bardzo niewyraźnie. Byłam w łaskach u Stanisława od lat mego dzieciństwa, zapewne dlatego, że słuchałam jego czasem i bezładnej gadaniny, kiedy inni go unikali. Miałam współczucie dla starca może w przeczuciu własnej mej starości o wiele smutniejszej, bo ślepotą i bezruchem obarczonej. Dziś pojmuję jak miło jest mówić kogoś, co od starości i gadulstwa nie stroni i jakąś go-

dziś mi poświęci. Niestety! takich jest coraz mniej... Przypominam sobie, jak będąc w ogrodzie skusiło mnie na otrzęsienie młodej śliwki, która to drzewinka pierwszy raz obrodziła wspaniałym owocem, który dotem był już mocno przetrzebionym. Wstrząsnęłam drzewkiem i nie zdążyłam jeszcze podnieść się z ziemi, kiedy Stanisław, dłubiący coś na grządce i śpiewający drżącym głosem godzinki, powstał i wyrwawszy suchy badyl makówki, rozgniewany biegł ku mnie, wołając: „A ty smarkulo! Będziesz śliwki w suche dni otrząsała, żeby drzewinka uschła?! Rozśmieszyło mnie w ręku ogrodnika tak groźne narzędzie kary; umknęłam z ogrodu, słysząc jeszcze zdala różne pod moim adresem epitety. Zajście to

nie wpłynęło jednak na nasz przyjazny stosunek, gdyż nauczyło mnie o przesądzie ludowym, o którym dotąd nie wiedziałam a Stanisław, suszący w piątki, dni suche i krzyżowe o herbacie i chlebie z miodem, dostał tegoż dnia podwójną racyę.

Co 3 lata bielono we dworze wszystkie pokoje. Po zasięgnięciu rady barometru, wynosiliśmy się na dni kilka do ogrodu, kampując w sadzie owocowym pod drzewami. Póki byłyśmy dziećmi, mnie i kuzynki bawiła bardzo ta odmiana. Hej to było wesołości i śmiechu przy rozbijaniu namiotów! Rozwieszano między drzewami kapy i prześcieradła, rozstawiano dla wujostwa parawany i rozkładano t. z. „feldbety" obite płótnem,

na których leżało się pysznie. Wszyscy też chrapali wokoło mnie zasnąwszy od razu snem sprawiedliwych. Mnie tylko jednej, upośledzonej od natury zawracało się w głowie od woni kwiatów z bliskich klombów, a szczekanie psów tuż za płotem, i trąbienie stróża, popisującego się czujnością spać mi nie dawało, mimo waty, jaką wszyscy pakowaliśmy do uszów z obawy przed skorkami.. Szczęściem, że kampania bielenia w 3 dniach się skończyła.

W Szczepanowicach było 12 zegarów, odziedziczonych po p.p. Dinotach, Kucieńskich i Mohrach. Zacząwszy od ślicznych okazów francuskich, znacznej wartości, aż do poczciwego Schwarzwäldera w ja-

dalszym pokoju, wszystkie szły źle, albo milczały. Najlepiej szedł ten ostatni i według niego układał się porządek dnia. Stary Niemiec, nim zaczął wybijać godzinę, wydawał odgłos jakby młynka mielącego kawę. A jednak w domu panował ład i z niczem się nie spóźniano. Machina wprawną ręką raz w ruch puszczona, funkcyonowała wybornie. Pamiętam że raz w adwencie postanowiliśmy wybrać się do Miechowa na roraty. Ciotka wstała zrana pierwsza, według jedynego dobrze idącego zegarka wuja Jana o 4 godz. Na piątą byłyśmy już gotowe i powóz zajechał. Roraty zabywały się o godz. 6tej. obliczyłyśmy więc, że za godzinę staniemy na miejscu. Noc była mroźna lecz bezśnieżna. Jakież było nasze rozczarowanie

kiedy Miechów zastaliśmy w zupełnem uśpieniu, a kościół zamknięty. Stróż nocny objaśnił nas, że jest dopiero godzina czwarta. Nie chciałyśmy wracać do domu bez nabożeństwa, i narażać się na pośmiewisko wuja, który tej wyprawie był przeciwny, więc rade nie rade w jakimś obskurnym zajeździe przesiedziałyśmy 2 godziny o chłodzie i głodzie. Zegarek wuja szedł dobrze, lecz ciotka, rozespana, widocznie, przeoczyła godzinę. Naprawę zegarów uniemożliwiały szykany moskiewskie, czynione na komorze Michałowice przy przewożeniu czegokolwiek z powrotem z Krakowa.

Kiedy już mowa o szykanach granicznych,

którymi lat dziesiątki gnębiono obywatelstwo okoliczne, zmuszone zaopatrywać się w przedmioty potrzeb codziennych w Krakowie, jako o mil kilka oddalonem mieście, muszę wspomnieć o kilku chociaż zdarzeniach podczas wypraw przez Michałowice. Otóż panie, poszyły sobie duże, płócienne saki, które napełnione kontrabandą przywiązywały sobie do pasa pod spódnicami szerokiemi i fałdzistemi, jakie na ów czas noszono. Przejazd w takich warunkach przyjemnym nie był, gdyż strach ma wielkie oczy a już Moskale iście argusowe mają ślepia... świdrując okiem badawczem każdego pasażera. W r. 1860 jakiś niezły człowiek i gładki w obejściu, nazwiskiem Petrow był naczelnikiem

komory; dla dam był uprzejmy i wyrozumiały.
Ciotka Józefa sprawiała w tym czasie wyprawę dla starszej córki Maryi. Kupiwszy dużą sztukę jedwabnej tafty na kołdry i poszwy, wyżej wymienionym sposobem umieściła kontrabandę. Było nas 4 w powozie tak dobrze obładowanych. Przepis surowy nakazywał aby do przejrzenia paszportów przychodziła do biura osoba główna, w tym więc razie ciotka.
Po odbytej skrupulatnej rewizyi waliz i przejrzeniu dokumentów, pan naczelnik z kurtuazyą podał ciotce rękę, kiedy przy wsiadaniu do powozu z szumem wysunęła się sztuka materyi z pod sukni ciotki, spadając po stopniach powozu p. Petrowowi pod nogi.
Naczelnik ubrany w długi wojskowy płaszcz z pe-

cieczą zasłonił sobą kaskadę purpurową i począł pakować do powozu niesforną kontrabandę, która coraz bardziej się rozwijała... Wrzuciwszy resztę do powozu ze słowami: „Bon voyage, mesdames" zatrzasnął drzwiczki. Obok stojącemu strażnikowi, świadkowi sceny wrzasnął nad uchem: „Słysz! niczego nie widział! I kazał ruszyć stangretowi.
Pani z Gittlerów Janowska przewoziła z Krakowa zegar pod płaszczem na plecach; kiedy już paszport jej był podpisany, zegar zaczął wybijać głośno godzinę. Zdumieli się naraz urzędnicy w kancelaryi, lecz pani J. nie tracąc kontenansu rzekła: och, to już 6ta godzina! i ukłoniwszy się szybko wyszła z kancelaryi. Rozśmieszeni celnicy tem komicznem zdarzeniem, nie czynili jej żadnej

przeszkody. Nie zawsze jednak tak dobrze udawała się przeprawa przez granicę; trafiały się osobiste rewizje, których podejmowała się wstrętna rządówka, „Czarna Hanka" z Krakowa, dostarczająca sama wszelkich zapotrzebowań całej granicznej załodze; znienawidzona w mieście naszem jako szpieg i denuncyatorka. - Było to zwyczajem u Moskali zmieniać naczelników, właszcza jeśli który, jak Petrow, wyrozumiałym na potrzeby okolicznej szlachty się okazywał. Wysyłano takiego w głąb Rosyi i zastępowano najczęściej jakimś satrapą. Trzeba jednak im wszystkim oddać sprawiedliwość, że łapówek nie brali w postaci dojnej krowy lub paszy dla takowej, licznych butelek wina, rumu lub koniaku i t. p. jak to miało

miejsce później.

W dworze szczepanowickim, odkąd pamięć moja sięga, stała w sieni wielka skrzynia wielkości łóżka, 1¼ m. wysokości mająca. Powierzchnia tej skrzyni, aczkolwiek wytarta i zniszczona, zachowała jednak miejscami ślady wielce misternej rzeźby polichromowanej. Wnętrze zaś zachowało całą świeżość politury i świadczyło o wielkiej niegdyś piękności tego sprzętu. Mianowicie przykrywa przegródki na boku, pokryta barwną i prześliczną rzeźbą o motywach roślinnych, arabeskowych i fantastycznych postaciach ludzkich, które choć drobne, miały wyraz żywy i ruch naturalny. Gdy pomyślę ile pokoleń róż-

nych posłańców, czekających w sieni; siedząc obijało biciskami to arcydzieło, buntuje się mój zmysł artystyczny, którego sobie choć maleńką cząsteczkę, po kochanym ojcu moim, odziedziczoną, przypisuję. Wuj Jan utrzymywał, że skrzynię tę, już w stanie zniszczonym, stojącą na tem samem miejscu, zastał, obejmując dzierżawę Szczepanowic. Dwa razy w roku otwierano skrzynię: wiosną i jesienią. Na ten moment czychałam, dzieckiem będąc, z upragnieniem. Nietylko jej piękne wnętrze, lecz i zawartość zajęła i bawiła dziecinną moją ciekawość i wyobraźnię. Warstwami ułożona, znajdowała się w skrzyni elegancka, kawalerska garderoba wuja, jakoteż ubrania pani Dinot de Vignemil, świad-

czące, wymownie o wykwincie i guście dawniejszym matki i syna. – Do przewietrzania tych cennych zabytków, przystępowałyśmy – że tak się wyrażę – obrzędowo. W ogrodzie wiązano sznury między drzewami i my trzy, z pomocą ciotki Józefy rozwieszałyśmy przepiękne te rzeczy, której to czynności przypatrywały się z za płotu dzieci wiejskie, wyrażające głośno swój zachwyt. I naprawdę było co podziwiać. Liczne fraki szyte z przepięknego, cienkiego sukna, w kolorach brązowego, granatowego, cynamonowego, wszystkie w dwóch odcieniach, ze złotemi guzikami, jakieś kubraki do polowania, letniczki jedwabne, negliżowe, koszule z najlepszego lnianego batystu z takiemiż żabotami, tak pięknie uszyte, że trudno było dopatrzyć się ściegów. A dopiero kolekcja

jasnych kamizelek i takichże „niewymownych.” W przegródce skorzyni mieściły się szelki, haftowane na skórze, materyi i kanwie różnokolorowemi jedwabiami, włóczką lub paciorkami, jakby dziś wyszłe z rąk nadobnych hafciarek, zapewne licznych sióstr i kuzynek wuja. Wreszcie krótkie, wąziuchne sukienki z najpyszniejszych liońskich materyi p. Dunotowej, trzewiczki płytkie różnokolorowe z cienką jak papier podeszewką i bandażami z jedwabnej, wązkiej wstążeczki. Słowem skarbiec nieprzebrany, ślicznie przechowany przez lat dziesiątki. Tu nasuwa się pytanie, dlaczego ponoszono trudy konserwacyi tych zabytków i nie rozdano ich między ubogich? Odpowiedź łatwa: ani

wieśniak, ani mieszczanin. Tem mniej dziadek wydrowicy nie ubrałby się w taką odzież. Ówczas chłop trzymał się jeszcze pory swoim pięknym, wieśniaczym stroju; nie widziano jeszcze owych wstrętnych, czerwonych, kacapskich kaftanów i żydowskiej „cywilnej" tandety, w jaką popadł lud nasz. Dziś, dzięki Bogu (r. 1919) zrzuciwszy jarzmo moskiewskie, powraca wieśniak chętnie do stroju dawnego.
Spadek po Dziadkach i młodości mojej Jana nie kończył się jeszcze na wyżej wymienionych przedmiotach. W mieszkaniu przechowywano piękne francuzkie i tureckie szale dużej wartości, również cenne koronki, satkę i serwetkę

korecką porcelanę i 3 garnitury stołowe,
rzadko używane, jako przeznaczone dla wnuczek.
Jeden fajansowy, Wedgewood, niebieski z białem,
drugi, wyprawny ciotki, z białej porcelany fran-
cuskiej ze złotym brzegiem, pięknego kształtu,
bez skazy zachowany. Były też śliczne serwisy
do kawy i herbaty, filiżanki „empire" i podo-
bizną Napoleona i Józefiny, wazony japońskie
i cenne srebra, słowem, nikt by się nie spodzie-
wał, że ten dom pod strzechą kryje takie za-
soby rzeczy wartości wielkiej.
Niestety! Jak wszystkiemu na świecie, tak i
tym zabytkom lepszej przeszłości przyszło powoli
na koniec i to w sposób bardzo rozmaity. Po-

czątek zrobiła młodsza kuzynka moja Emilia. Energiczna, rzeczna do robót, lubiąca się ładnie ubierać i hołdująca skrajnej modzie, dobrała się do składu staro-żytności, t.j. do wyżej opisanej skrzyni. Przez lat kilka całą zawartość porzłotoczyła na rozmaite wianki, jupki i kaftaniczki, będące owczas w modzie. Materye jedwabne użyła na podszewki i bluzki, koszule batystowe na haftowane kołnierzyki i pszewczki, ozdobne a szelki na paski, będące w ten czas w modzie. Trzeba przyznać, że dobrze użytkowała piękny materyał i że ogólny poklask zyskiwały u sąsiadek jej arcydzieła, cierpliwość i

pomysłowość. Ale Emilia, zacząwszy raz szczęśliwie, jęła modernizować dom cały. Poczciwe i ładne „bidermajery" salonowe musiały ustąpić miejsca wiedeńskim, banalnym meblom, co mnie irytowało, gdyż przyzwyczajona od dzieciństwa do pięknych starych mebli, nie mogłam zagustować w bezwartościowej tandecie. Za meblami poszła w kąt i ładna, codzienna porcelana, z zieloną girlandką liści winnych, zastąpiona grubą, ciężką, karlsbadzką, z czerwonemi brzegami (!!) Zegary tylko ostały się. Wujostwo pozwolili na tę metamorfozę, nie chcąc się sprzeciwiać Emilce kochany, którą ja nazw-

Tam „dyktatorem". Może przeczuwali, że ta pełna życia, pełna zalet charakteru i śliczna dziewczyna stanie się kiedyś niewolnicą i ofiarą przewrotnego męża, który skróci jej życie... Przechowując starannie wartościowe i piękne rzeczy wujostwo podzielili je między córki. Syn nieszczęśliwej Emilki nie umiał uszanować spadku po matce, wszystko gdzieś przepadło bez wieści... Natomiast starsza siostra Kucieńska, późniejsza Henrykowa Chrzanowska, rozdzieliła piękną swoją wyprawę między swoje 4 córki: Józefę Zygmuntową Żerliczową, Stanisławową Józefową Russocką, Emilię Zygmuntową i Marię Józefową Duboryckie. Straszna wojna w r. 1914. położyła koniec pamiątkom ro-

dziwnym. Rozdrapali wszystko prawie Moskale,
Prusacy i Austryacy.
W Monachium, w Muzeum Narodowem, widziałam
takuteńką skrzynię, ślicznie zachowaną; katalog
opiewał: „Altdeutsche Truhe." Były to więc skrzynie
gdańskie. Owe piękne skrzynie Szczepanowickie
znajdują się w muzeum narodowem w Krakowie.

Drób.

Zawsze lubiłam drób, nietylko na półmisku ale
i żywy, właszcza młody a nad wszelki inny małe,
żółte kaczęta. W Szczepanowicach hodowano tego
moc wielką. Na wsi o dobre mięso trudno, więc
dokładano wybornym drobiem, którego też znaczną
częścią dzielono się z krewnymi i znajomymi,

w Krakowie. Dzień spędzał młody drób w osobnym ogródku; Kasia, która później awansowała na dworską pokojową, miała pieczę nad tym drobiazgiem, w czem jej z zamiłowaniem pomagałam; zwano mnie też „kaczą guwernantką.” Istne góry jaj twardych z pokrzywą siekano dla kurcząt, kacząt, indycząt i perliczek. Były między temi okazy rzadkiej piękności, gdyż ojciec mój, mając gospodarskie upodobania ciotki Józefy, sprowadzał do wylęgu różne zagraniczne rasy. Po licznych próbach powrócono do drobiu swojskiego, zwłaszcza do porzmiłych, polskich kokoszek, uważając je za najnośniejsze i smaczne zarazem. — Wracam do ulubionych moich kaczek. Któregoś roku

nastała plaga gąsienic, które zagrażały wspaniale się zapowiadającym kalafiorom w ogrodzie. Bawiąca wówczas w Szczepanowicach najstarsza siostra ojca mojego, Karolina, uważana w rodzinie za wyrocznię we wszelkich ważnych sprawach, wpadła na pomysł, aby wypędzono kaczki żarłoczne jak wiadomo dla pożytrzebienia gąsienic. Wykonano też zaraz ten zamiar któregoś popołudnia. Kaczki oczyściły prędko zagony kalafiorów i po wypławieniu się na rzece poszły syte spać do kurnika. Jakże smutno zakończyła się ta uczta ogrodowa. Kasia, wszedłszy nazajutrz wczesnym rankiem do kurnika, zastała wszystkie kaczki nieżywe, z popuchniętemi szyjami. Korytko z wodą napełnione do kropli wysączone świad-

czyło wymownie o męce biednych ptaków, chcą-
cych ulżyć sobie instynktownie ochłodą. Ka-
tastrofa ta przyprawiła stanowiła ciotkę Karoli-
nę o chorobę. Strata była wielka, gdyż kaczki
już były duże, a liczba ich 100 wyraźnie sto sztuk.
„Sekcya," wykonana przez kucharza, wykazała ogrom-
ne oparzenie przewodu pokarmowego u biednych
ofiar. Oskubano je, pierze wzięła folwarczna służba
a kaczki zakopano w ziemi za ogrodem, skąd
w dni kilka zabrali je przechodzący przez wieś
cyganie i zapewne ze smakiem, bez szkody na
zdrowiu zjedli... Tak drogo okupione kalafiory
nie, mi nie smakowały, przywodząc mi na pamięć
okropną hekatombę moich wychowanek. Tłumaczo-
no mi wprawdzie, że taka czy owa śmierć je czekała,

ale nie w tak długiej mierze. Ciotka Karolina odtąd wyrzekła się raz na zawsze rad swoich. Ubytek ten zastąpiono sukursem z innych folwarków.

Mojsie.

Wuj Jan miał ulubionego psa, nierasowego, prostego kundla; psisko to było niesympatyczne nawet dla mnie, która za psami przepadałam zawsze. Gruby, czarny, żółto podpalany Bryś wielce do wuja był przywiązany, towarzyszył swojemu panu w wyjazdach i wogóle nigdy go nie opuszczał. Sypiał w kancelaryi wuja, tuż obok pokoju sypialnego wujostwa, chrapiąc na wyścigi z nimi i córką młodszą, Emilią. Ten kwartet często do rozpaczy mnie doprowadzał, gdyż w małem mieszka-

nim, w którym wszystkie wewnętrzne drzwi otwarte w nocy zostawiano, przeciągał się ten koncert nocny. Moją bezsenność całożyciową wyniosłam niewątpliwie z tak miłych mi zwierząt Szczepanowic.

Pewnego dnia siedział wuj Jan przed domem na ławce paląc fajkę i czytając gazetę; u nóg jego leżał nieodstępny Bryś, kiedy na drodze, wiodącej przez wieś ukazał się wędrowny handlarz, żyd. Bryś natychmiast, lotem strzały wypadł na żyda ujadając. Żyd bronił się kosturem, co psa rozzłościło jeszcze więcej, począł żyda szarpać za hałat, wreszcie uderzony kijem zawył pies żałośnie. W tej chwili zerwał się wuj rozgniewany i wygrzmocił żyda długim cybuchem, który wraz z fajką ~~który~~ na drobne kawałki

na jego grzbiecie się połamał. Tej przykrej scenie
przypatrywałyśmy się z okna, przerażone wielce.
Wuj powrócił z psem i jak, zwykł był czynić w złości
zamknął się na trzydniowe „silentium" w kancelaryi
wraz z ulubieńcem swoim. Żydzisko lamentując,
zbity i obszarpany, zwłaszcza na tylnej części ubra-
nia, poszedł w dalszą drogę ku Miechowu. Ciotka
zaś porwawszy co można było na prędce ze spiżarni,
pobiegła zastąpić żydowi drogę i datkiem złagodzić
biedaka, który w mieście mógł był wnieść skargę
na wuja. Ale żydzi na ów czas byli jeszcze potulni...
Obszarpany i pobity Mojsie, uradowany darami, nawet
czule się z ciotką pożegnał. — Jeden to jedyny raz,
w którym widziałam wuja, wyrządzającego krzywdę ko-

nuś.
W niespełna rok po tem przykrem zdarzeniu w pię-
kne, jesienne popołudnie, gdy siedzieliśmy w przyty-
kającym do domu ogródku, pojawił się u sztachet
żyd, trwożnie oglądający się wokoło, skłonił się
nam pokornie i na zapytanie wuja: zkąd jest
i czego chce, - odpowiedział: Jaśnie państwo mnie
nie poznają? To ja, Mojsie, "ten z widłami
d. upem" i wskazał ręką w kierunku miejsca ka-
tastrofy. Wuj Jan, który pewnie wstydził się swej
porywczości, polecił żyda ugościć i suto go obda-
rzył. Mojsie, handlarz skórek króliczych i zaję-
czych, oddalił się uradowany z tysiącem życzeń
najlepszych dla "dobrego państwa" widocznie niepom-

ny już dotkliwego wzaruuku.

Wojciech i Roman Kucieńscy.

Przyrodni bracia, wuja Jana, starsi już kawalerowie, gospodarowali wspólnie we wsi Biutkowicach, koło Ojcowa. Były to natury i usposobienia wręcz sobie przeciwne. Młodszy Roman, dr. filozofii, oddany więcej pracy umysłowej, człowiek pięknych form towarzyskich, dla dam zawsze pełen galanteryi, lubiany był ogólnie. Starszy Wojciech, wysoki, dobrej tuszy, łysy zupełnie prawie, z ogromnemi wąsami, typ kontuszowego szlachcica, człowiek równie prawy jak brat Roman, dobry i zabiegliwy gospodarz, był jednak niebaczuym i nieoprawnym kpiarzem. Nie-

wyczerpany w wesołości był i drwiący sobie ze wszystkich i z wszystkiego. Celem jego złośliwych pocisków między innymi była w Szczepanowicach 40letnia panna starsza Walska, zwana Wolisią, osoba dobra, prawa ręka ciotki Józefy. Sypały się jak z rogu obfitości koncepta pod adresem staropanieństwa Wolisi, która nawzajem ostro odcinać się umiała, przygadując Boruszkowi i Tysiunie p. Wojciecha. - Pewnego dnia po większej słów utarczce późnym już wieczorem panowie Kucieńscy wyjechali do domu. Wolisia miała swoje locum w jadalnym pokoju za dużym parawanem, a wiedząc, że p.p. K. lubią bawić długo, zmęczona pracą wcześniej już po cichu posłała swoje łóżko.

Wszyscy udaliśmy się już na spoczynek. Ja sypiałam w salonie, przytykającym do jadalni. Kiedy przy półgłośnych pacierzach Wolisi usypiać zaczęłam, zerwał się przeraźliwy krzyk tejże. Zerwałam się na pomoc i cóż zobaczyłam? Oto Wolisię w mokrej bieliźnie, a z pod łóżka wypływającą strugę wody. Śledztwo nasze wykazało, że ktoś złośliwy umieścił pod prześcieradłem płaską, mosiężną miednicę i wodą. Wolisia jako winowajcę oskarżała p. Wojciecha K. Kiedy tenże zdążył wykonać ten zamach nie mogliśmy pojąć, nazajutrz.

Od owej katastrofy minęło kilka tygodni, kiedy w miesiącu maju pojawił się p. Wojciech K., którego na wstępie ciotka Józefa zgromiła za

niemądry koncept; p. Wojciech wypierał się jakoś słabo. Po wyjeździe gościa, Wolisia rada z danej mu admonicyi, ułożywszy się do snu, wkrótce posłyszała dziwny jakiś szelest w pobliżu. Sądząc, że mysz się zakradła do łóżka, postraszyła ją uderzeniem w poduszki. Szmer nie ustawał, więc okazała się potrzeba zbadania przyczyny. Zapaliwszy świecę, z przerażeniem spostrzegła że z pod poduszki wydobywa się chrabąszcz. Do tego insektu miała Wolska wstręt wielki; narobiła też wrzasku, który zbudził nas wszystkich. Za poszewką było robaków sztuk kilkanaście. Ten złośliwy figiel wyprowadził ciotkę Józefę z równowagi. Śledztwo, nazajutrz zarządzone wykazało, że miała dziewczyna, pomocnica w kuchni, która

obsługiwała Wolską i z namowy p. Wojciecha oba zamachy wykonała. Tak to ludzie dawniej mieli humor do płatania figlów, nawet tacy już podtatusiali jak p. Wojciech K.

Trzeci brat przyrodni wuja Jana, Samuel, właściciel dóbr Łaski w pow. olkuskim, ożeniony z Olimpią Wolfówną, córką krakowskiego bankiera, Wincentego Wolfa. Pani ta założyła w Łaskach śliczny park i wogóle ogrodnictwo podniosła w całej okolicy. Odznaczała się w tej dziedzinie wielką znajomością i gustem. Łaski przeszły w ręce starszej córki, Gabryeli Feliksowej Bukowskiej ale syn tejże, Samuel już się przy pięknej tej siedzibie nie utrzymał. Wieś rozpar-

celowano między chłopów; z parku, pełnego rzadkich drzew i krzewów niema już śladu. Młodsza córka p.p. Samuelów, Helena, wyszła za Macieja Mączyńskiego, właść. dóbr Siedliska w Galicyi.

Śliwki.

Do zapasów, czynionych na zimę, należało też konserwowanie śliwek węgierek w stanie świeżości, które podawano w dzień Bożego Narodzenia, na deser. Sposób był nader prosty i nigdy nie zawodził. Kucharz Józef, w rękawiczkach, z puszką blaszaną, uzbrojony w nożyczki wyłaził na drzewo i zbierał najpiękniejsze okazy ucinając, wraz z szypułką i bacząc, aby nie zetrzeć barwy, układał śliwki w puszce, którą nastę-

nie zalutowaną szczelnie zakopywano w ziemię aż do zimy. – Któregoś roku posłano ojcu mojemu wielkie, okrągłe, płaskie pudło takich śliwek, ułożonych na miękkim mchu; przedstawiały się nader ponętnie, zachowując właściwy aromat. Ojciec powziął zamiar pochwalenia się tym, bądź co bądź niezwykłym produktem gospodarstwa swojej siostry, więc w dzień wigilijny posłał pudło w darze ówczesnemu delegatowi czy gubernatorowi (czy jak go nazywano) hr. Mercandin, któremu miał jakieś szybkie załatwienie sprawy miejskiej do zawdzięczenia. Co przy naszym austryackim „Schlendrianie" urzędowym było prawie łaską... „Niech Niemcy wiedzą" – orzekł-

co powierzamy przez nich „Bärenland" produkcję. Hr. Mercandin podejmował był właśnie jakichś wysokich wiedeńskich dygnitarzy na wigilię i deser sprawił prawdziwą sensację. Goście jadali przy cesarskim stole w zimie poziomki i truskawki, ale śliwek nigdy. Hr. Mercandin zaraz po świętach osobiście podziękował ojcu za dar tak cenny i niezwykły, chciał się informować o sposobie konserwowania śliwek, lecz ojciec zbył go niewiedzą tem, że to jest sekretem jego siostry.

Orzy

Ciotka Kucińska powracając z odwiedzin siostry Eleonory Gruerskich w Kieżmarku na Spiszu, przy-

wiozła młodego pieska z węgierskich psów owczarskich;
było to szczenię, umiejące już jeść lecz potrzebujące
jeszcze edukacyi. Zwierzątko było prześliczne, białe,
puszyste jak wielki kłębek jedwabiu; nazywało się
Orcy. Przeznaczony do strzeżenia owiec pierwotnie, stał
się pies ten odrazu ulubieńcem i pieszczochem całej
naszej rodziny i służby. Kilkakrotnie zgłaszał się
po psa, sobie obiecanego, owczarz Marcin, lecz darem-
nie – rozstać się z faworytem stało nam się niepodo-
bieństwem. Orcy wyrósł na urodę klasyczną psiego
rodu. Bawiąc za granicą widywałam owczary ras wszel-
kich, lecz tak pięknego nigdy nie spotkałam. Orcy
był wielkości największego psa z Góry św. Bernarda
nieco tylko smuklejszy, o sierści długiej śnieżnej bia-

łości i uszach krótkich, stojących; ogon wspaniały jakby najpiękniejsze strusie pióro, pysk wązki, spiczasty, nos czarny i takież oczy o niedających się wprost opisać wyrazie, pełnym żywości, sprytu i inteligencyi. Psisko to było dobre, waleczne i do domu przywiązane; było też podziwem całej wsi i sąsiadów. O czystość swojej osoby dbał sam troskliwie. Latem upatrzywszy sobie jakieś głębsze miejsce w małej zwykle rzeczce, rzucał się w wodę z upodobaniem dając nurka, a po kąpieli otrząsnąwszy wspaniałe, śnieżyste kudły, wylegał się na trawie. Zimą lubił tarzać się w śniegu, tak że rzadko zachodziła potrzeba gruntowniejszego czesania, które uskuteczniał stróż Wicek zawsze z chęcią. Orey sypiał w przedpokoju na swoim sienniku jako stróż

domu.

Pewnego zimowego dnia, Orzy zniknął nagle; najściślejsze poszukiwania w całej okolicy na ślad po nim nie naprowadziły. W tydzień po zniknięciu Orzya zjawił się zdyszany chłopak z wiadomością, że będąc zajęty w stodole, posłyszał przygłuszone skomlenie psa, jakby pochodzące z ogrodowej piwnicy w pobliżu stodoły. Na tę wieść zerwała się ciotka i wziąwszy co prędzej klucze i latarnię, popędziła do wielkiego ogrodu; tuż za ciotką podążyliśmy wraz ze służbą. Była to wielka piwnica, w której przechowywano na zimę owoce a zawsze dużą ilość butli z winem i gąsiory z miodem, poustawiane w piasku pod oknami piwnicy, do której prowadziło 12 schodów. Gdy otwarto żelazne drzwi wiodące na schody, uderzył nas na wstę-

pie, bardzo silny zapach alkoholu i przykry przedstawił nam się widok: biedny Orey leżał na ziemi brudny, powalany, prawie jak nieżywy, ale kiedyśmy się zbliżyli i przemówili biedne psisko zaskowyczał i usiłował się podnieść, lecz był za słaby. Wyniesiono go na powietrze, a gdy się otrzeźwił począł chciwie pić podaną mu wodę. Biedaczysko wychudły był i lekki; zaniesiono go do dworu, gdzie trochę posilony usnął znowu twardo a w dni kilka przyszedł całkiem do zdrowia. Powodem tej katastrofy było, że ciotka poszedłszy po jabłka do piwnicy nie zauważyła że pies poszedł za nią i zapewne myszkował zwyczajem psim po kątach. Piwnica była oddalona od dworu, więc szczekania i wycia biednego psa nikt nie słyszał.

Orzy chciał się wydostać z więzienia, więc skakał do okien zamkniętych, a skacząc, potłukł gąsiory z cennemi trunkami, wypijając z głodu i pragnienia resztki na dnie niedobitych butli pozostałe, upił się i osłabł. Szkoda była bardzo znaczna, wprost niepowetowana; pękły stuletnie miody, wina i likiery, chowane na wesele córek, ale radość z uratowania Orzya górowała nad stratą.

Korab.

Do mnogich dziwactw wuja Jana zaliczyć należy jego wstręt do porządnego ekwipażu. Sam już człowiek stary trząsł się do śmierci na lichych wózkach bez resorów, na siedzeniu ze słomy, okrytem

końską derą. Dla żony i córek był powóz odwiecz-
ny jakiś kolos, niezmiernej wysokości, do którego
właziło się aż po 3 stopniach składanych. Resory
potwornej wielkości sterczały wygięte w olbrzymie pętli-
ce z tyłu powozu, między którymi w razie potrzeby
umieszczano walizę podróżną. 4 damy nawet w kry-
nolinach wygodnie się w powozie tym mieściły. Ten
archaiczny iście wehikuł przezwałyśmy „Korabiem”
z powodu nadzwyczajnego kołysania się jakby na
falach wodnych, który to nich nabawiał nie często
mdłości i morskiej choroby. Do „Korabia” zaprzęga-
no zawsze 4 konie, które nieraz dobrze się zmęczyły
wyciągając ciężki powóz z gruntu gliniastego, w któ-
rym grzęzły koła, w zawsze fatalnie zaniedbanych
drogach bocznych w okolicy Miechowa. Jeżeli co,

to ten utrudniony sposób kommunikacyi obrzydził mi na zawsze życie towarzyskie na wsi. Łudziłyśmy, że gdy córki dorosną, wuj zdecyduje się pozwolić na kupienie lżejszego, nowoczesnego powozu ale nic nie zdołało nakłonić go do nabycia choćby jakiegoś wolanta. Wozownia pełna była jakichś odwiecznych dryndulek, przedpotopowych „fajtanów” jak nazywali je woźnice, bryczek. Gdyby te rupiecie chciał był wuj sprzedać, choćby na materyał tylko, jużby za tę sumę mógł był zrobić sobie i córkom przyjemność i wygodę ale upór przemagał u niego wszystkie inne uczucia. „Nie jestem magnatem” mawiał i powozami modnemi rozbijać się nie będę.

Podróż do Gardzienic.

W r. 1858 wujostwo Janowie powzięli zamiar wysłania syna Stanisława na praktykę gospodarską do Gardzienic w Lubelskiem, majątku szwagra mojej matki, Józefa Łemańskiego. Postanowiono odwieźć Stasia, aby po latach wielu niewidzenia się ciotki Józefy z ciotką Joanną Ł. odnowić dawne, serdeczne, jeszcze z czasu pobytu babki mojej Łemańskiej z córkami w Krakowie datujące się stosunki. Myśl, że nareszcie poznam najukochańszą siostrę mojej matki Joannę i jej rodzinę, o której tyle dobrego nasłuchałam się od wczesnego dzieciństwa, oszołomiła mnie niemal. Miałam rok szesnasty i dopiero co skończyłam była pensyę p. Zuzanny Szawłowskiej w Krako-

nie; miałam uczucie ptaka „wypuszczonego z klatki"..
Ale nie było czasu oddawać się zbytecznie marzeniom,
gdyż czekał na nas ogrom przygotowań do tak dale-
kiej podróży. Początek stanowił konieczny wyjazd
do Krakowa dla stosownej „oprawy" 3 panienek. Spad-
łam z obłoków gdy krawiec Wencel sporządził nasze
podróżne toalety. Bo też pierwszy raz w życiu przy-
szło mi dźwigać jarzmo wszechwładnej pani-mody,
na on czas tak niepraktycznej i wprost męczeńskiej.
Kiedy zobaczyłam narzędzia tortury czyli staniki
obcisłe z jakiejś grubej dymy z równie grubą, pło-
cienną podszewką, wyrogowane gęsto i z tyłu sznurowa-
ne i kiedy pomyślałam że w takim pancerzu będę
musiała odbywać w skwar sierpniowy kilkodniową

podróż w zamkniętym powozie, poczemu wiało mi w oczach. Przepadła radość moja i wszelki urok pożegnania kawałka rodzinnego kraju, t. j. Królestwa Pols., na które tak się cieszyłam, mając go tylko po Szczepanowice i Miechów. Wreszcie nieubłaganej konieczności poddać się trzeba było. Po powrocie z Krakowa ruch powstał w domu i poza domem. Historyczny „Korab" życia zwijęto z worowni, smarowano, czerniono staruszka dziegciem, którego zapachu specyalnie nie znosiłam. Wnętrze arki obijano jakimś nowym drelichem. Pakowano moc garderoby i bielizny w walizy, mnóstwo drobiazgów w sepety i torby podróżne. cóż mówić dopiero o ładowaniu na bryczkę poduszek i kołder, wreszcie naczyń kuchennych z samowarem i prowiantu na dni kilka. Dotąd miałam tylko

podróż koleją żelazną za granicę, gdzie lat kilka z matką bawiłam, obywając się średniej wielkości kuferkiem, więc wyżej wymienione małe rzeczy wydały mi się czemś wprost porażającem.
Nadszedł nareszcie dzień wyjazdu, bardzo upalny. Wczesnym rankiem, stangret Feliks, wystafirowany także odświętnie, huknął z bata i z fantazyą zajechał przed dom korabiem [illegible] i zaprzężonym w czwórkę, za tymże bryczka parokonna pod rzeczy. Dzień zapowiadał się bardzo upalny, co zaraz poczułam, po emanacyi woni rozgrzanej; mimo wczesnego ranka, skóry korabia. Wsiadłyśmy z ciotką do landary, na bryczce usadowił się kuzyn Stanisław; powoził kucharz Józef. Przeżegnawszy

się, wyruszyliśmy w drogę ostro, pozostawiając wuja na gospodarstwie.

Pierwszy dzień podróży zawiódł nieco moje oczekiwanie; okolica równa, monotonna, wioski ubogie, popasy wprost opłakane. Zazdrościłam moim towarzyszkom, które usnąwszy, wychrapywały na różne tony. Mimo że droga t.j. szosa wybornie w owym czasie utrzymywana nie dozwoliła korabiowi na zbyteczne rozbujanie się, przecież małości mi dokuczały. Bez wypadku dobiliśmy do Jędrzejowa, mieściny ożywiającej się tylko w czasie corocznego jarmarku; po niewygodnym w żydowskim zajeździe noclegu, wyruszyliśmy o 4 rano ku Kielcom. Czym bliżej Kielc tem ładniejszy krajobraz

roztacza się przed oczyma; to też i kuzynki moje mniej drzemały, rozglądając się po okolicy. Ukazały się wspaniałe ruiny zamku w Chęcinach, gdzie w czasie popasu, mimo upału, wyspinałyśmy się na zamkową górę, pod same mury zamczyska, wyrastającego z wielica dzikich róż i innych krzewów. Usiadłszy w cieniu jakiejś skarpy podziwiałyśmy przepiękny widok, a myślami w daleką wracałyśmy przeszłość... Twarda konieczność dalszej podróży przerwała wątek wspomnień historycznych. Ciotka Józefa u stóp góry powiewała chustką, wzywając nas do rozpalonego powozu. Zbuntowałam się, zamieniając miejsce z kuzynem Stanisławem, a choć wózek trząsł niemiłosiernie, wytrzymałam i mimo protestu ciotki

i kuzynek nie wróciłam do „Kovabia". Pod same-
mi Kielcami piękna, lesista góra Karczówka
z klasztorem Bernardynów nęciła swoim urokiem,
lecz czasu nie stało na zboczenie z drogi. Wto-
czyliśmy się z naszym taborem po szkaradnym
bruku do miasta. Jeszcześmy nie wysiedli, kie-
dy nas otoczyła zgraja żydostwa, mianowicie, my-
szuresów, z których każdy swój hotel zachwalał.
Zajechaliśmy niby przed najlepszy zajazd; chma-
ra żydostwa różnego wieku cisnęła się prawie do powo-
zu z okrzykami podziwienia: „Kikt ne rue, hast
de giewidziałt zo szejne szikse!" Ten zachwyt
mógł się tyczyć tylko moich ślicznych, jak róże
świeżych kuzynek, gdyż ja, zmordowana, bezsen-

nością i upałem, w wymiętem i zakurzonem ubraniu, godny politowania widok przedstawiać musiałam... Wszedłszy do chłodnego, dosyć czystego pokoju, spostrzegłam nowiuteńką sofę, wysłaną wygodnie i obitą ceratą; zmęczona padłam na ten ponętny mebel; w tej chwili uczułam w krzyżu ból dotkliwy i dziw że zębów nie postradałam. Po bliższem zbadaniu zwodniczego mebla, pokazało się, że sofa wcale nie była wysłana a siedzenie tworzyły jakieś stare, drutowe, ostrzem do góry umieszczone ćwieki!! Roje żydziąt z przypłaszczonemi do szyb nosami zaglądało do okien a do drzwi cisnęła się chmara natrętnych handlarzy, zachwalających swój towar. Dopiero wier-

giczna interwencya kuzyna, przy pomocy kucharza położyła kres temu napadowi synów i córek Izraela.

Koadjutor, bardzo wczesnym, rosistym i chłodnym rankiem ruszyliśmy w dalszą drogę. Balsamiczne powietrze orzeźwiło mnie nieco po bezsennej nocy a oko miało jeszcze na czem spocząć; droga jakby wśród gaju cyprysowego wiodąca. Były to olbrzymie krzaki i drzewa jałowcowe, jakich nigdy w życiu nie zdarzyło mi się widzieć. Z lubością wchłanialiśmy w płuca woń, orzeźwiającą. Na myśl, ile tu stad kwiczołów żerować musi, ślina nam do ust napływała...

Koło południa zasępił się horyzont, zerwała się

wściekła nawałnica, prawie że do oberwania chmury. Wzięliśmy kuryera Stanisława do powozu, gdzie co prawda między czterema krynolinami wygodnie nie siedział... Mimo zamkniętych okien zmokliśmy wszyscy do nitki. ~~Stanąwszy~~ Stanęliśmy w Szydłowcu, lichej, żydowskiej mieścinie. Tu powtórzyła się scena kielecka z tą tylko odmianą, że zamiast wykrzykników podziwu żydówki ubolewały nad stanem naszych sukien. Szalona wrzawa zmieniła się chwilowo w grobowe milczenie, kiedy ciotka Józia zapytała się czy która z kobiet nie mogłaby pożyczyć nam żelazka do prasowania. Wreszcie zaczęły żydówki szwargotać: „Wus is? Wus wil-ze?" nagle jedna nasrożywszy się w czoło z wrzaskiem: „et, żelazke" pomknęła w ulicę — lecz za nią

i druga. W kwadrans moje powróciły; jedna z pustem, zaśniedziałem żelazkiem, druga z duszą lichą i przepaloną. Obie pomogły perswazye nasze, że do żelazka należy już i dusza, gdyż każda żądała osobnego wynagrodzenia. Zaspokoiwszy pretensye przebiegłych żydówek, licho, bo na drzewnym tylko ogniu gorejąc dusze, jako tako osuszyłyśmy nasze szaty. Staś i woźnica liczyli na słońce, które się po burzy ukazało. Wyruszyliśmy do Radomia okolicą płaską i nudną, wśród której jakby zarazem zdawał się być Orońsk, piękna rezydencya pani Pruszakowej, z ładnym pałacem i wspaniałym parkiem. Przed wieczorem, bardzo strudzeni i niewyschnięci jeszcze, stanęliśmy w Radomiu. Zajechaliśmy do

żydowskiego zajazdu (innych wówczas nie było) przy pryncypalnej ulicy Lubelskiej. Dano nam pokój ogromny, z wejściem wprost sieni, bez łóżek, z jednym stołem i kilkoma krzesłami, lecz przynajmniej dosyć czysty. Odświeżywszy się gruntownie, wyruszyliśmy z wizytą do tatusia, do państwa prezydentostwa Makowskich, spowinowaconych z Kucieńskiemi, gdyż pani Makowska była siostrą krakowskiego bankiera, Wincentego Wolfa. Dom państwa prezydentostwa słynął z serdecznej gościnności a ozdobą tegoż były 2 córki, piękna Władysława i mniej ładna ale bardzo utalentowana pianistka, Karolina. W wykwintnych salonach, ugoszczeni wspaniale, spędziliśmy bardzo przyjemnie godzin kilka, wyniósłszy nietylko miłe wrażenia, ale i suty prowiant na dal-

szą drogę, w postaci kurcząt pieczonych, ciast i owoców.
W zajeździe zastaliśmy na podłodze rozesłane, mocno aromatyczne siano — nic, a nic więcej. Usłaliśmy sobie łoże z własnej pościeli. Niepokoił nas tylko hałas w sąsiedniej stancyi mimo spóźnionej już godziny; żydek usługujący zapewnił nas, że panowie oficerowie „będą zaraz wychodzić." Niebardzo nas to uspokoiło, lecz sen morzył więc rade nie rade pokładłyśmy się na pachnącem sianie a wkrótce ciotka Józia i siostra Mila chrapały głośno... Starsza siostra Marya, zawsze pobożna, wykła była długo w noc się modlić, więc uklękła przy stole, postawiwszy obrazek M. B. między dwoma świecami i mimo niemilknącego ha-

Pasu w sąsiedztwie odmawiała swoje pacierze. W bia-
łym, lekkim kaftaniku, z rozpuszczonemi bujne-
mi włosami wyglądała jak święta. Zdawała mi
się wzorem dla malarza religijnego; była śliczna
nad wszelki wyraz. Przypatrywałam się jej z uwielbie-
niem. Nagle z hukiem otwarły się drzwi sąsiednie-
go numeru i na środek naszej stancyi wpadł
oficer!... Rozejrzawszy się wokoło, zatrzymał na
chwilę wzrok zdziwiony na pięknej mej siostrze
Maryi, zoryentował się w sytuacyi i ze słowem
„pardon" rzucił się do odwrotu. Modląca się ani
drgnęła, lecz ciotka z Milą, rozbudzone trzaśnię-
ciem drzwiami i brzękiem ostróg, zbudziły się
przerażone. W sąsiedztwie ucichło nagle, oficerowie

wynieśli się natychmiast. Mimo to, ciotka, ubrawszy się (drwonka nie było) poszła zbudzić żydka numerowego i wypawszy mu burę za niesłychane niedbalstwo (i brak klucza we drzwiach, kazała też zbudzić syna, Stanisława, ulokowanego w oficynie. Zażądaliśmy klucza od drzwi inkryminowanych a zamek zupełnie zardzewiały dowiódł, że oddawna klucza nie było i drzwi na klamkę tylko pozamknięte były. Po tem nieśmiałem intermezzo o spaniu, myśleć nawet nie było można, zwłaszcza, że dla chłodu chcieliśmy wyjechać wczesnym rankiem. Omawiając wrażenie inwazyi moskiewskiej przy wybornej kawie, którą nas dobra p. Makowska na dalszą drogę obdarzyła, śmialiśmy się z przygody nocnej. Moskal, człowiek gładki,

stawił się u kuzyna Stanisława wczas rano, mocno przepraszając za porywczość, wyrządzoną damom, tłumacząc się tem, że nic o zajęciu sąsiedniego numeru nie wiedział a zwykle przez tę właśnie stancyę, jako najbliższą siebie, przechodzili.
Okolica Radomia niczem nie bawiła oka, nic więc dziwnego, że po bezsennej nocy zaszywszy się w czte-ry kąty powozu, usnęliśmy wszyscy. Nie pomnę już przez jakie przejeżdżaliśmy miejscowości.
Ocknęliśmy się w Zwoleniu, żydowskiej mieścinie; upał jął nam dokuczać. W jedynym zajeździe żyd nam oznajmił, że pokój gościnny zajął ja-kiś fajny pan, szlachcic i że tylko na „kuchni" jest miejsce. I rzeczywiście z okna zajazdu wyglądał młody człowiek, w letniczku i dziwacznej czapce

z fajką na długim cybuchu i z jonicznym uśmiechem zwycięzcy przysłuchiwał się pertraktacyi jego z ciotką moją, wychylającą się z powozu. Moje kuzynki znudzone i zmęczone, otworzywszy sobie poczciwie drzwiczki wyskoczyły z powozu. Młodzieniec z fajką zobaczywszy ładne panienki zniknął natychmiast z okna, a ogarnąwszy się porządniej zbliżył się do powozu, najuprzejmiej ustępując nam swojej stancyi, w której rozgościliśmy się z przyjemnością na kilka godzin. Sądzę że fajny pan szlachcic nie pożałował swojej kurtuazyi, zważywszy że oprócz towarzystwa uroczych moich kuzynek, w dodatku zjadł z nami smaczny obiad, przygotowany przez Józefa z radomskich zapasów. Zwoleń, Czarnolas, Sycyna, Policzna, Borowiki,

wszakże to gniazdo rodzinne Kochanowskich! Dusza się rwała, aby to zobaczyć... ale czas naglił, więc zwiedziliśmy tylko kościół z kaplicą grobową Jana Kochanowskiego. Jakiż przykry był widok smętnej prawie ruiny tej drogiej nam relikwii. Odłamki marmurowe podobizny poety leżały na ziemi, brud i pajęczyny wszędzie, napisy zatarte. Nie wolno było wówczas pod groźbą odnawiać kościołów katolickich ani pamiątek narodowych. W pobliżu kościoła, w zarosłym chwastem ogrodzie stał dawniej dwór stryja mojej matki, Ludwika Lemańskiego, właściciela Zwolenia przed niespełna 30 laty jeszcze. I tu serce mi się ścisnęło na myśl znikomości rzeczy ziemskich. Dwór duży, parterowy z wielkiemi oknami musiał być piękną rezydencją niegdyś. Dlaczego L. Le-

majski pozbył się zwolenia, nigdy dowiedzieć się nie mogłam, a do rodziny dziadka, dziś jeszcze (r 1919) wcale zamożnej, czuję żal urasadniony. Po serdecznem pożegnaniu z p. szlachcicem, którego nazwisko wyszło mi z pamięci, ruszyliśmy wszyscy, każdy w swoją drogę. Skwapliwie rozglądałam się po okolicznych wioskach, bliższych traktu, chcąc odgadnąć, gdzie leżą Borzezinki, miejsce urodzenia mojej matki; żywej duszy nie spotkaliśmy, nie było kogo o tę wioskę zapytać. Pogrążyło mnie to w smutne zamyślenie; towarzyszki moje zamilkły także. Nie pamiętam, jak długo towaliśmy w tej zadumie, kiedy stangret Feliks zawołał: Puławy! Słowo to podziałało na nas jak iskra elektryczna... Puławy! To miejsce opromienione światłem narodowej kultury,

wspomnieniem tak jeszcze niedawnej świetności, ognis-
ko, wokoło którego skupiało się co kraj nasz posiadał
najwybitniejszego. Miejsce, w którem dobrą wiarę
narodu polskiego w lepszą przyszłość ukołysał minio-
ny car Aleksander I. rzucając następnie dzicz mos-
kiewską na zniszczenie i zdobycie uroczej siedziby
Czartoryskich. W skupieniu, milcząc opuściliśmy prom
na przewozie. Przyroda, nigdy się nie starzejąca,
w całej swojej krasie sierpniowego dnia, ujęła nas
swym urokiem — ale jakżesz kontrastowała ona
z opuszczeniem i ruiną siedzib, będących niegdyś
mieszkaniem gości puławskiego dworu. Idąc ku
zajazdowi wysunęłam się o kilkanaście kroków na-
przód, kiedy w rozwartej szeroko bramie zajazdu uka-
zała się piękna i elegancka postać damy lat. śred-

nich; serce zakołatało mi żywiej w piersiach na jej widok — czyżby duch kochanej matki mojej się ukazał? Stanęłam jakby oszołomiona widzeniem, kiedy nagle nadeszła ciotka Józefa i z damą rzuciły się sobie w objęcia, wołając z rozrzewnieniem: Joasiu! Józiu! Ileż było radości w spotkaniu tem po latach 20! A cóż dopiero mówić o mojem szczęściu, że nareszcie mogę poznać i uścisnąć najukochańszą siostrę mojej matki, tak bardzo do niej podobną z urody i jak wkrótce zauważyłam, z dobroci i słodyczy charakteru. — List, zawiadamiający o terminie naszego do Zardzienic przyjazdu nie doszedł na czas a ciotka Joanna, oddając córkę, 13letnią Karolinę do instytutu w Puławach, zmuszoną była pod koniec wakacyi udać się tamże

dla złożenia egzaminu i omówienia warunków. Czas naglił i miało się już ku wieczorowi; ciotka spieszyła do zakładu na przepisaną godzinę. Musieliśmy przerwać wylewy serdeczności i szybko się przyodziewać, aby, korzystając z protekcyi ciotki Zemańskiej, móc zwiedzić park i pałac puławski, co od lat wielu było naszem marzeniem... Przełożoną zakładu była generałowa Grotenowa, dama z rosyjskiej arystokracyi, w wieku średnim, światowa i elegancka osoba. Posiadała w sąsiedztwie Gardzienic wieś Siedliska, gdzie w czasie wakacyi przebywała; z tąd była bliższa jej znajomość z domem Zemańskich. P. Groten nietylko zezwoliła nam zwiedzić zakład, ale z wielką uprzejmością sama

nas oprowadzała tak po parku jak i gmachu całym. Widocznie bardzo obeznana z tradycyą miejscowości dobrym była nam przewodnikiem, dyskretnie pomijając wszystko, coby nasze uczucia patryotyczne drażnić mogło... — Przepiękny park, o wspaniałych aleach, w oświetleniu zachodzącego słońca, czarowny przedstawiał widok. Utrzymany starannie, gdzieniegdzie zachował jeszcze szczątki posągów, zdobiących go niegdyś; najlepiej przechował się — o ile pamiętam — Tankred, podtrzymujący umierającą Klorindę. — U stóp góry przepływa przez park odnoga Wisły, zwana Łachą; z tąd, co żywo umykać trzeba było z powodu istnej plagi komarów. Kilkanaście panienek w mundurkach jasno-zielonych, białych fartuszkach i bardzo wycię-

tych trzewiczkach uwijało się po parku; wdzięczny przedstawiałyby widok, gdyby nie rosyjska ich mowa, która w tem niegdyś środowisku polskiej kultury okropnym zgrzytem odbiła się w naszej duszy... Widocznie były to uczennice, będące na koszcie carowej Maryi, które tu i wakacye przepędzały. Bardzo przykre wrażenie odnieśliśmy w świątyni Sybilli, tym panteonie pamiątek, gromadzonych mozolnie przez ks. Izabellę Czartoryską. Ściany poszarpane aż do cegły, jakby krwawiące jeszcze rany! Znać jeszcze było, z jakim pośpiechem usuwano drogie zabytki przed najazdem wroga. Pałac, ogołocony z największej swej ozdoby, zewnętrznych, podwójnych wspaniałych schodów, umalowany na ów tak wstrętny, żółty ko-

lor, właściwy wszystkim „nazionym" gmachom w całej Rosyi, przedstawiał się pospolicie. Przyznać trzeba, że czystość i porządek wzorowy panował w każdym zakątku. Zwiedziliśmy sale szkolne, sypialnie, sale do zabaw, kuchnie i umywalnie. Te ostatnie oryginalnie urządzone były. W środku wielkiej sali umieszczony był tulski samowar, błyszczący się jak złoto a tak kolosalny, że w jego wnętrzu możnaby chyba zamieszkać. Dziewiątory były naokoło kurki, pod którymi umywalnie t.j. miednice mosiężne, umieszczone w zagłębieniach okrągłej, niskiej szafy. W tak urządzonej umywalni mogło się umyć kilkanaście osób równocześnie. — Z wyższych pięter pałacu śliczny przedstawiał się widok na przeciwległą Górę,

siedzibę hr. Grabowskich, z pałacem wśród zieleni, gó-
rującym nad brzegiem Wisły. Uraczeni przez uprzejmą
p. Grotenową wybornemi lodami, wróciliśmy do zajazdu,
gdzie w swobodnej i wielce ożywionej pogadance otrzą-
snęliśmy się z przykrych wrażeń, świeżo doznanych.
Ciotka Joanna dla egzaminu córki i dopełnienia
jakichś formalności, zmuszoną była zatrzymać się
w Puławach do dnia następnego, my zaś, mając w pro-
gramie podróży jeszcze odwiedziny w Garbowie u p.p. Ro-
mualdostwa Żółtowskich, przenocowawszy w jednej izbie
jak śledzie w beczce, wyjechaliśmy z Puław.
Ciotka Joanna bardzo usilnie nas upominała, abyśmy
stanąwszy pod zamkiem gardzienickim zażądali ze dworu
po parze koni na przyprzążkę, gdyż i pod tak wielką

i stromą górę konie nasze ciężkiego powozu i ła-
downej bryczki mogłyby nie wyciągnąć. Przyjąwszy
tę uwagę do wiadomości, z serdecznem „do widzenia”
ruszyliśmy w dalszą drogę. Rzuciwszy raz jeszcze tęs-
knym wzrokiem w stronę uroczych Pilaw, jakby
w przeczuciu, że ich w życiu nigdy już nie zobaczę,
poczęłam rozglądać się po okolicy. Ziemia lubelska,
żyzna i lesista, więcej falująca, piękniejszą od
radomskiej mi się wydała, trakt ożywiony znacznie
więcej nie tchnął taką pustką jak prawy brzeg
Wisły. Zdumiewało nas zadziwiły wspaniałe, nieraz
i potrójne aleje odwiecznych lip w szczerem polu.
Aleje te, to były proste, to skręcone pod kątem
a nawet w podkowę zasadzone; widocznie kiedyś
prowadziły do dworów, które Bóg wie z jakich przy-

czyn, może wśród zamieszek w kraju, ukryty z po-
wierzchni ziemi, zostawiając po sobie żywy i wymowny
ślad. Jakież to miłe schronienie dla turystów w cza-
sie odpoczynku być musi! I my więc zrobiliśmy tu
swoje namioty, rozkoszując się chłodem zielonego
sklepienia i lekkim szumem tą przepiękną mową
drzew... Z poetycznych marzeń zbudził nas poczciwy
Józef, zastawiając nam ucztę z zimnych kurcząt,
które wczorajszego wieczora zdążył w Puławach kupić,
sprawić i upiec na rożnie. Pokrzepiwszy ducha i ciało
zajęliśmy miejsce w dusznym korabiu i podążyli-
śmy dalej. — Garbów, piękna siedziba hrabstwa Je-
zierskich, wspaniale się przedstawia, mianowicie
pałac wśród parku, otoczony stawami, przypomi-

nał warszawskie Łazienki. Garbów słynął z gospodarstwa rybnego. — Romuald Żółtowski był kolegą szkolnym wuja Kucieńskiego a więc człowiek już wiekowy, imponował jeszcze pięknością męskiej urody. Państwo Żółtowscy także nie otrzymali zawiadomienia o naszym najeździe na ich dom, mimo to przyjęli nas z całym taborem z serdeczną gościnnością i umieścili wygodnie. Choć osobiście byliśmy sobie nieznani, wkrótce czuliśmy się jakby w kole rodzinnem, swobodni i niekrępowani. Nazajutrz po przybyciu asystowaliśmy przy połowie ryb, co nas, pochodzących z suchej i bezrybnej okolicy bardzo zajęło. Nigdy przedtem nie widziałam okazów tak imponującej wielkości i tak rozmaitych

gatunków a pierwszy zaraz piątkowy obiad dał gościom poznać ich smak pośredniowy. Przyznaję się, że wówczas byłam tyle jeszcze niemądrą, iż ryb nie jadałam, co gospodynię domu mocno zakłopotało. Obiad obfitował w tyle jeszcze wybornych potraw, że nie mogłam pozwolić, aby dla mnie jeszcze jakieś osobne przyrządzano. – W drugim dniu pobytu odwiedziliśmy bawiącą w bliskiem sąsiedztwie, u p.p. Chudrychiewiczów, sędziwą generałową Sowińską, pragnąc poznać czcigodną żonę wodza-bohatera, z którym przez trzecią żonę mojego dziadka Mokra, Lechównę z domu, byliśmy w jakiemś powinowactwie. Dzisiejszemu młodemu pokoleniu, które o swoich dziadkach najczęściej nic nie wie i wiedzieć nawet nie pragnie, żyjąc obecną chwi-

łą, dziwnem się to wyda, iż śmy dziś już starzy ludzie, ongi lgnęli do naszych dalszych krewnych i mimo utrudnionych komunikacyi staraliśmy się, o ile można było, zachowywać z nimi stosunki.— P. Łowińska przyjęła gości krakowskich z widocznem rozczuleniem, które i nam się udzieliło. Staruszka w pełni sił umysłowych i wielce ujmującej powierzchowności, z ożywieniem wypytywała nas o ludzi, których poznała niegdyś w Krakowie, o rodziny pokrewne jej męża, jak Czechów, Mączeńskich, Schreiberów i innych, a mnie dostała się od czcigodnej tej pani osobna pochwała za to, że choć tak jeszcze młoda, umiałam dać jej żądane wyjaśnienia.— U p.p. Hudrychiewiczów zastaliśmy liczne grono ładnych Warszawianek i młodzież męską z okolicy.

Po kilku godzinach miłego ze wszech miar pobytu w gościnnym tym domu, z serdecznem błogosławieństwem zacnej matrony powróciliśmy do Zarbowa pod miłem wrażeniem. Tu na wstępie doszła nas okropna wiadomość, że w lesie, przez który dopiero cośmy przejeżdżali, wilki rozszarpały dziewczynę zbierającą jagody. P. Żółtowski zajął się natychmiast organizacją obławy, wysyłając okólnik do sąsiadów i chłopstwa. — ebarajutor ze słowami „do miłego widzenia” opuściliśmy gościnne progi p.p. Żółtowskich, przeprowadzeni przez las eskortą zbrojną, złożoną z p. Żółtowskiego, pisarza i strzelca dworskiego. Zaszłe w naszym kraju w latach następnych wstrząsające wypadki uniemożliwiły nam kontynuowanie tak

wiele zadzierzgniętych stosunków...
W Pieskach Luteńskich, najlichszej żydowskiej mieścinie jaką kiedykolwiek widzieć mi się zdarzyło, opuściliśmy szosę, zbaczając na uboczną drogę i upatrując z niemałem zaciekawieniem ukazania się kresu naszej podróży. Jakoż wkrótce ujrzeliśmy na wzgórzu piękny zamek, zbudowany przez Jana Czarnieckiego, bratanka hetmana, od strony pośniadowej górujący nad mnóstwem topoli nadwiślańskich i włoskich. Potężnemi skarpami spadał zamek ku rzece Giełczwi, przepływającej między rozległemi łąkami. Pochłonięci pięknym widokiem, zapomnieliśmy byli zupełnie o przestrodze ciotki Joanny co do przyprzążek koni i wznosząc się łagodnie aleą topoli włoskich, ujrze-

listny nagle dwór gardzienicki. Stangret Feliks
huknął ostro z bata, ~~zatrzaskując~~ okrążając z iście krakowską
fantazyą ogromny gazon, zdobiący zajazd. Mnie
z radości na myśl, że nareszcie jestem w tych Gar-
dzienicach, do których jak Turek do Mekki wzdy-
chałam, aż w gardle ścisnęło... Kochani wujostwo
z córkami i synem pierwsi nas powitali; w oka-
mgnieniu zbiegła się też z różnych stron gromada
bliskich i dalszych krewnych, bawiących zwykle
w lecie w gościnie gardzienickiej a gromada składała
się z osób 14, nie licząc domowych. Ileż było tam ra-
dości szczerej! Czułam się bardzo szczęśliwą w tej chwi-
li, zwłaszcza, że lwią część serdeczności ja zbiera-
łam, jako najbliższa krewna i „córka kochanych

Michałów". — Umieszczono nas w 2 pokojach I piętra a brata Stanisława na parterze, w kwaterze młodych, wesołych kuzynków, pozpędzających wakacye w Gardzienicach.

Wuj Józef Lemański kupując Gardzienice, zastał zamek bez dachu, mury jednak mocne jeszcze były. Szlachecka fortuna, choć dość znaczna, nie pozwalała na urządzenie tak wielkiego gmachu w celu zamieszkania; wuj ograniczył się na pokryciu zamku blachą i pozamieniał cały budynek na magazyny gospodarskie, jak: spichlerz, piwnice i składy różnych rzeczy, w skład gospodarstwa wiejskiego wchodzących. Po prawej stronie frontu zamkowego stoi drugi dom, w połowie jedno-piętrowy, dawny zbór aryański,

wygodny i obszerny, z widokiem z jednej strony na piękny zamek i wielki klomb rajgrasowy, z drugiej na niewielki, lecz bardzo ładny ogród, wszystko na wzgórzu, którego zbocze schodzi na piękne łąki, ku rzece Giełczwi. Słowem gdzie spojrzeć, wszędzie zieleń, moc kwiatów, piękne, stare drzewa, przestrzeń szeroka i czar wspomnień dawnej historycznej przeszłości, co czyni Gardzienice nad wszelki wyraz uroczemi.

Koadjutor po przybyciu zaraz z rana zwiedziliśmy najdokładniej zamek od strychu do piwnic; doskonale zachowane schody, świadczące o wspaniałości przedsionka, ułatwiały zwiedzenie gmachu bez męczenia. Obszerne komnaty, wyłożone kamienną posadzką i schludnie wybielone ściany przy zalewie słońca czyniły wrażenie

wesołe — zdawało się, że chyba w tym zamku nigdy nic złego się nie działo... nie było śladu jakichś lochów i kazamat ponurych, nie pozostały też żadne krwawe podania, w jakie zwykle inne zamki obfitują. A cóż mówić o przepięknym widoku z okien na wioski, lasy, rozległe pola i łąki! A wszystko tak swojskie i miłe! Wszystkie drogi jezdne w Gardzienicach obsadziła ciotka Joanna topolami włoskiemi, które bardzo lubiła, czem cała posiadłość górowała nad okolicą. Teren, który zajmował zamek, dwór i ogród, był jakoby pierwszą kondygnacyą wzgórza, na drugiej, do której wiodła aleja topolowa, były ogrody owocowe i warzywne, jako i zabudowania gospodarskie. Zbocze drugiej kondygna-

cyi, prawie prostopadłe, obsadzone dzikiem winem, stanowiło jakby ścianę zieloną wzdłuż kwiatowego ogrodu. Tu stały stare drzewa cytrynowe i pomarańczowe, zasypujące wonnym kwiatem ścieżki jakby śniegiem, więc widok z okien dworu radował oczy. Nic dziwnego, że w takiem otoczeniu, wśród najbliższej i dalszej rodziny i serdecznego ciepła zaczęły się dla nas dni wprost rozkoszne... Starsi kuzynkowie prześcigali się w obmyślaniu dla nas rozrywek różnych, jak n.p. piesze i konne wycieczki do lasu na grzyby, jagody i orzechy, to pływanie czółnem po stawie, co nam, mieszkającym w okolicy bezleśnej i suchej wielką sprawiało uciechę. Po kolacyi co wieczór prawie pokręciliśmy się trochę przy muzyce.

fortepianowej dobrych ciotek naszych. Ładna, dobra i posażna panna domu, Zofia Lemańska, była atrakcyą dla okolicznej młodzieży, to też tancerzy nie brakowało. Taniec przeplatały śpiewem dwie kuzynki: Helena z Lemańskich Bronisławowa Rzewuska z Siostrzytowa, obdarzona wspaniałym sopranem, a także Zofia L. miły posiadająca głos, – uczennice warszawskiego śpiewaka Troschla. O północy wszyscy ulokowaliśmy się w swych kwaterach i cisza zalegała dwór, co mnie nie gustującej nigdy w zabawach wiejskich do białego dnia, bardzo się podobało.
Do stołu siadało nas samej tylko rodziny osób 20., było więc wesoło i gwarno. Według niemądrego zwycza-

już ówczesnego nie wypadało młodym pannom najadać się do syta; pozowały one na sylfidy i rusałki, żyjące „ranną rosą i zefirem" chcenie się jednak zdaje że powodem do braku apetytu były obciśle gorsety i stanki sznurowane - istne pancerze. Więc o północy, kiedyśmy się na spoczynek rozeszli, kucharka Zosia dzwoniąc kluczami wołała nas do spiżarni, gdzie na półmiskach widniały wcale jeszcze pokaźne resztki kolacyi w postaci zimnego drobiu i innych mięs. Rzucały się panienki na smaczne kąski, wynagradzając sobie sowicie post porywnisowy. Otóż jednej nocy, kiedyśmy w negliżowych ściśniczkach pochłaniały różne przysmaki, nagle za oknem od góry otwartem rozległy się głosy naszych kuzynków, wiwatujących na-

dobrym Krakowiankom dobrego apetytu, popierając życzenia uprzejmym uśmiechem... Dosia zgasiła świecę ale powzięła myśl odwetu. Wnet sposobność ku temu się nadarzyła. Kilkakrotnie już chłopcy nie stawili się lub spóźnili do podwieczorku. Dosia wypatrzyła, że urządzają sobie oni w swej kwaterze partyjkę wista czy preferansa. Wyniosła z piekarni ożóg, t.j. wiechę ze słomy na długiej żerdzi, służącą do wymiatania pieca i umoczywszy takowy w beczce z wodą podesłała cichaczem pod osłoną krzewów, rosnących pod oknem. Kiedy chłopcy rozgrywali właśnie jakąś interesującą partyę, nagle wsunęła przez otwarte okno ożóg mieszając karty, ze słowami: Ot smarkacze, wstydźcie się grać w karty, zamiast bawić Krako-

wianki." W dodatku, przyjechała pozrażonym chłopa-
kom mokrym ziogilem po twarzach.. Zemsta jest słod-
ka, to też kiedy młodzieńcy ukazali się u stołu, nie
szczędzono im żartobliwych przycinków. Na takich
to zabawach i psotach zeszły jak mgnienie oka
dwa tygodnie pobytu i nadszedł czas pakowania
manatków do powrotu. Ciotka Joanna uprosiła ciotkę
Józefę aby mnie na czas dłuższy zostawiła w Gar-
dzienicach, co mnie mocno ucieszyło a Bóg widział
że nie dla uciech i przyjemności, przeciwnie, przewi-
dywałam, że po wyjeździe większej części gości uciszy
się nieco w domu i będę mogła więcej korzystać z to-
warzystwa starszych, do których lgnęłam sercem
całem a i oni mną się zajmowali nad zasługę moją

Pragnęliśmy wzajemnie poznać się lepiej i żyć się z sobą. Z niektórymi jakiemi żegnano w Garbniewicach krakowskich gości, pocieszano się myślą rychłego widzenia się znowu, co jak wiele ludzkich zamiarów nie spełniło się...
Wkrótce też i młodzież gimnazjalna wyjechała do Warszawy i Lublina, niektóry z afektem studenckim w sercu dla uroczych moich kuzynek...
Wyjechała też do Puław młodsza moja kuzynka Karolina. Pozostała jeszcze siostra mojej matki Matylda Dobruchowska z 4letnią córeczką Filipiną (dziś Eugeniuszową Karuska - r 1919) z siostrą męża, panną Paulina D., przyrodnia siostra wuja Lemańskiego p. z Szwczyńskich Juszkiewiczowa

z kuzynką; Jan i Paulina Ignacyńscy i inni krewni, więc i tak sporo nas jeszcze do końca października korzystało z gościnności wujostwa Klemańskich. — Stanisław Kuciński z zapałem jął się praktyki gospodarskiej.

Wuj Józef Klemański w podeszłym był już wieku; żołnierz napoleończyk, uczestnik wyprawy pod Berezynę, najstarszy między obywatelami ziemi lubelskiej, zacny i prawy człowiek, wielkie miał poważanie w okolicy, był też bardzo kochany od swych włościan. Służba we dworze z pokolenia na pokolenie następowała, zawsze wierna i przywiązana do swoich chlebodawców. Lubiłam zachodzić do kochanego wuja na pogawędkę w jego przemiłych pokojach na

parterze, wyłożonych pod sklepiony sufit gdańskiemi kafelkami z XVII w. Kafelki białe z widoczkami morskiemi w kolorze niebieskim, doskonale zachowane, cennym były zabytkiem, toteż zjawiali się z zagranicy amatorowie i handlarze starożytności w celu nabycia kafelków, ofiarując sumy pokaźne, za które dobry folwark kupić można było, ale wuj o takiej transakcyi słyszeć nie chciał. Przyległy obok, duży pokój ciotki Joanny był niegdyś kaplicą, a obszerna, wydłużona jadalnia refektarzem aryańskim. Choć tu jednak nie trąciło sekciarstwem ni klasztorem, przeciwnie wszystkie pokoje w całym domu ładnie obielone tchnęły miłą jasnością i pogodą, jak jasną i pogodną była dusza zamieszkują-

cych stare mury wójostwa Lemańskich.
Po śmierci wuja, objął Garzienice syn jego Józef, ożeniony z Wandą Chądzyńską, spłaciwszy siostry swoje, nie mógł się jednak utrzymać przy majątku ojczystym, więc zostawiwszy sobie folwark Borek, jeszcze ładny i pokaźny kawał ziemi, sprzedał Garzienice - Krzeniewskiemu, a od tego nabyli je Jan i Augustowie Iwańscy z Ukrainy. Nowi właściciele, ludzie bogaci, urządzili w starym zamku iście pańską rezydencję i dotąd (r. 1919) w niej mieszkają.
Bywałam jeszcze niераз w Garzienicach - ostatnio przed laty kilkunastu. Nic się tam nie zmieniło, oprócz, że ogród przedłużono, rzucając most przez parów, dzielący go od przyległego lasku. Wspaniały wiąz a jak lud

nazywa „ślimak", który okalał ławkę mogącą pomieścić wygodnie 10 osób, zmniał jak drugi za mej młodości... pokoiki kaflowe jaśniały tak samo, uprzejmi gospodarze pozwolili mi rozglądać się po miejscach wspomnień najmilszych a jednak — jednak serce mi się ściskało i łzy tylko siłą woli tłumiłam.

Do wzmianki o niepraktyczności dawniejszej mody chcę
dodać następującą przygodę. Ekwipując nas elegancko
na wyjazd do Gardzienic, kupiła nam ciotka Kucieńska
u najpierwszej modniarki Thiemowej, kapotki z białej,
cieniutkiej krepy, ozdobione krepowemi zielonemi kło-
sami. Były to cacka nader delikatne i kosztowne.
Zaraz w pierwszą niedzielę pobytu w Gardzienicach
wyjechałyśmy w białych toaletach o 2 wiorsty drogi
do kościoła w Piaskach Luterskich. Tumany kurzu za-
sypały naszą śnieżystą biel. Zostawiając starszym
kolatorskie ławki, usiadłyśmy w nawie głównej.
Kiedy sędziwy ale bardzo ciekawy proboszcz obchodził
kościół z aspersyą, zoczywszy 3 obce panienki przysta-

nał przed naszą Ławką i 3 razy maczając ogromne kropidło w kropielnicy, sprawił nam potrójne lanie. Jakoż zaraz poczułam, jak zimna woda spływa mi z głowy za kołnierz i mimo powagę chwili powiedziałam sobie: „Żegnaj mi piękna kapotko od Thiemowej!" W powrotnej drodze nowa warstwa kurzu pokryła mokre jeszcze kapelusze, które przybrały kolor szaro-żółty. Tak padły ofiarą ciekawego proboszcza przedmioty naszej dziewczęcej dumy... Ciotka Joanna nie omieszkała wymówić księdzu przy sposobności tego zimnego tuszu; proboszcz się tłómaczył że nie patrzył na kapelusze lecz na panienki...

*

Ciotka zamierzała sprzedać powidła hurtowni w Krakowie, lecz przewóz takiej ilości przez austryjacką granicę okazał się niemożliwym. W Miechowie zaś mieszczanie ówczas tak dużej transakcji podjąć nie mogli. Rada nie rada musiała ciotka zdecydować się na sprzedaż powideł Żydom.

Spis rzeczy.

1. Rodzina Kucieńskich . . . . str 1.
2. Wieczory zimowe w Szczepanowicach " 19.
3. Ogrody w Szczepanowicach . . . . . . " 33.
4. Skrzynia . . . . " 58.
5. Drób . . . . " 67.
6. Mojsie . . . . " 71.
7. Wojciech i Roman Kucieńscy . . " 75.
8. Śliwki . . . . " 80.
9. Owcy . . . . " 82.
10. Korab . . . . " 87.
11. Podróż do Zarziśnie 90
12. Generałowa Sowińska . . . . . . 119.

142